

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



być delegatem

W rozdziale IV Statutu PZPR w § 23 znajduje się następujące stwierdzenie:

„Mandat delegata na zjazd i konferencję jest ważny przez cały okres kadencji danych władz, chyba że zostanie wcześniej cofnięty przez wyborców”.

Dalszy ciąg na str. 3

NR 41 (1244) ROK XXIV

11 PAŹDZIERNIKA 1981 R.

CENA 7 ZŁ

PAŹDZIERNIKOWY PRZEŁOM



Warszawa 1956 r. Wiec mieszkańców stolicy z udziałem Władysława Gomułki i nowego kierownictwa partii.

Foto: Archiwum

25 lat mija od przełomu październikowego, który rozwiązał pierwszy tak ostry i tragiczny kryzys społeczno-polityczny w Polsce Ludowej. Momentem zwrotnym stało się słynne VIII Plenum KC PZPR, obradujące w dniach 18–21 października 1956.

Plenum to oficjalnie zamknęło najbardziej chyba porywisty rozdział w historii PRL — koszmarną epokę stalinizmu i berioowszczyzny. Plenum usankcjonowało zarazem toczący się w naszym kraju proces odnowy życia politycznego, społecznego i gospodarczego. Odnowy tyle burzliwej, co krótkotrwałej.

Zwrot, jakiego dokonał Komitet Centralny PZPR na swoim VIII Plenum, został niejako wymuszony przez wydarzenia — wewnętrzne i zewnętrzne — których chronologię warto pokrótce przypomnieć.

* W marcu 1953 roku umiera Józef W. Stalin.

* W lipcu 1953 roku stracony zostaje Ławrientij Beria, stojący dotąd na czele radzieckich organów bezpieczeństwa państwowego, a wyrokiem sądowym uznany za wroga partii i narodu.

* We wrześniu 1953 roku Nikita S. Chruszczow zostaje I sekretarzem KC KPZR.

* W marcu 1954 roku obraduje II Zjazd PZPR, którego efektem jest m. in. powołanie rządu pod kierownictwem Józefa Cyrankiewicza.

* W maju 1955 roku zostaje zawarty Układ Warszawski.

* W lutym 1956 roku odbywa się XX Zjazd KPZR, podejmujący szeroki i głęboki rozrachunek z etapem kultu jednostki.

* 12 marca 1956 roku umiera Bolesław Bierut, zaś 20 marca Plenum KC PZPR wybiera I sekretarzem partii Edwarda Ochab.

* 28 czerwca 1956 roku — tragiczny „czarny czwartek” w Poznaniu, rozpoczęty strajkiem i manifestacją załogi ZISPO (Zakłady im. J. Stalina — Poznań, dziś ZPM „H. Cegielski”), a zakończony krwawymi zajęciami ulicznymi, w których śmierć ponie-

sło ponad 70 osób, zaś blisko 1000 zostało rannych.

* W lipcu 1956 roku na VII Plenum KC PZPR podjęte są pierwsze próby dokonania zwrotu w polityce partii.

* W sierpniu 1956 roku KC PZPR wydaje komunikat, uchylający zarzuty wobec W. Gomułki, Z. Kliszki i M. Spychalskiego, zawarte w uchwale III Plenum z listopada 1949 roku, wieńczącej rozliczenia z tzw. odchyleniami prawicowo-nacjonalistycznymi.

* W październiku 1956 roku obraduje VIII Plenum KC PZPR, które dokonuje częściowej wymiany personalnej w obrębie Biura Politycznego i wybiera I sekretarzem KC Władysława Gomułkę.

...

Polski Październik obrósł w legendę, czemu sprzyjała nie tylko ranga historyczna wydarzeń z nim związanych, lecz również niechęć tak ekipy E. Gierka, jak i W. Gomułki do „nadmiernej” popularyzacji tego etapu naszej historii.

Przez dwadzieścia pięć lat szczególnie unikano tematu Poznańskiego Czerwca, a w ślad za nim — również i Października. Obecna rocznica przyniosła już i przyniesie na pewno wiele publikacji, przypominających i komentujących wydarzenia pamiętnego 1956 roku. Ze względu na niedostępność podstawowych źródeł historycznych z tamtego okresu zdecydowaliśmy się w pierwszym rzędzie — głównie z myślą o młodym Czytelniku — przypomnieć jeden z istotniejszych dokumentów, mianowicie stenogram VIII Plenum KC PZPR.

Wybór z 270-stronicowych materiałów nie był łatwy. Staraliśmy się dokonać go tak, aby zachować chronologię i główne wątki dyskusji, jak również — oddać chociaż po części atmosferę tych burzliwych obrad.

październikowe plenum

PIERWSZY DZIEŃ OBRAD (19 PAŹDZIERNIKA)

Tow. EDWARD OCHAB:

(...) Biuro Polityczne postanowiło zaproponować VIII Plenum KC, aby przed omówieniem projektu uchwały KC w sprawie aktualnych zadań gospodarczych i politycznych dokooptować do składu KC tow. tow. Gomułkę, Spychalskiego, Kliszkę i Łogę-Sowińskiego, tak by towarzysze ci mogli wziąć udział w dyskusji jako pełnoprawni członkowie Komitetu Centralnego (...)

Pragnę również poinformować towarzyszy, że w dniu dzisiejszym przyjechała do Warszawy delegacja Prezydium KC KPZR w składzie tow. tow. Chruszczow, Kaganowicz, Mikołaj i Mołotow. Delegacja pragnie przeprowadzić rozmowy z Biurem Politycznym naszej partii (...). Po ewentualnym przedyskutowaniu wniosku i dokonaniu kooptacji czterech członków KC, obrady plenum zostałyby w dniu dzisiejszym przerwane do godzin wieczornych. Jest propozycja — do godz. 18.00 (...)

Tow. H. JAWORSKA: — Mam wniosek, żeby przed odroczeniem obrad dokonać wyboru biura. (...)

Tow. M. TATARKOWNA: — Proponuję towarzyszy z KPZR przeprosić. Sądzę, że plenum powinniśmy odbyć, a przynajmniej załatwić sprawy organizacyjne, o których mówiła tow. Jaworska. Potem niech nowo wybrane kierownictwo rozpocznie rozmowy.

Tow. E. OCHAB: — Proszę towarzyszy, uważam, że byłoby rzeczą niewłaściwą prowadzenie dyskusji. W tej sprawie, apelowałem do poczucia rozważli i odpowiedzialności, był jeden głos za i jeden przeciw. Będziemy głosowali. Kto z towarzyszy jest za przyjęciem propozycji Biura Politycznego, proszę o podniesienie ręki do góry. Głosują tylko członkowie Komitetu Centralnego. Kto jest przeciw? Dwa głosy przeciw. Razem 61 za i 2 przeciw. Kto z towarzyszy wstrzymał się od głosu? Wstrzymało się trzech towarzyszy. Wobec tego przystępujemy do punktu pierwszego porządku dziennego, do spraw kooptacji czterech towarzyszy. Samo to sprawy jest znane, mówiliśmy o nim uchylając na poprzednim plenum uchwałę listopadowego plenum z 1949 roku i usunięciu z KC trzech towarzyszy. (...) Wszyscy głosowali za dokooptowaniem 4 towarzyszy do składu KC (...)

Dalszy ciąg na str. 4—5

Ryszard Binkowski czy najemy się zyskiem?

Kiedy na wsi zabrakło węgla lub paszy, chłopcy z konieczności brali się do wyrzynania zwierząt hodowlanych.

Aby zapobiec klęsce, PGR musiały słać kukurydzę, stawiać chlewnie i obory giganty i skupywać w całej Polsce cielęta i warchlaki. W drodze część zwierząt zdychała, a pozostałe przy życiu wegetowały w zimnych bunkrach, albo też z uwagi na zawyżone plany, stały w szopach, pod wiatami bez ścian, w pustych magazynach, albo też pod gołym niebem. Nie przybywały na wadze, bo jak tu wyżywić na hektarze 160 sztuk bydła. W łódzkim Zjednoczeniu Państwowych Przedsiębiorstw Gospodarki Rolnej jest nawet zakład, w którym na hektarze trzyma się 220 sztuk bydła. Żeby hodowla szła, stosowano różne dotacje, bonifikaty, ulgi, umo-

Dalszy ciąg na str. 7

Na halę „Oliwii” w Gdańsku zwrócone są dziś oczy całego świata. Po oświadczeniach Biura Politycznego KC PZPR oraz Rady Ministrów PRL surowo oceniających dorobek i tury Zjazdu „Solidarności”, zainteresowanie drugą częścią obrad wyraźnie wzrosło, co wyraziło się między innymi napływem nowych dziennikarzy ze wszystkich zakątków świata. Poza nawiasem tej społeczności żurnalistów znalazła się tylko ekipa dziennika telewizyjnego. (...)

Telewizja, demonizowana tutaj ponad miarę, m.in. dzięki zasługom swojej dziennikowej ekipy z red. Bronikowskim na czele, wpisała się ponownie na listę porządku obrad Zjazdu „Solidarności”, a to za sprawą jej gościnnych występów w kopalni „Szczygłowice”. Brak miejsca, aby opisać lawinę wydarzeń, które potem nastąpiły. (...)

Drugim elementem, podgrzewającym atmosferę obrad Zjazdu, było wzrastające napięcie w Częstochowie spowodowane działaniami prokuratury wobec M. Zembrzkiego.

konwencja działań aktywnych

Konrad Frejdlch

W pobliżu samej hali „Oliwii”, korzystając z dni wolnych od pracy i wspaniałej pogody licznie zgromadzili się przy gigantofonach transmitujących przebieg obrad

Dalszy ciąg na str. 6—7

Z dniem 1 października weszła w życie ustawa o cenzurze. Tym samym został zrealizowany jeden z głównych postulatów porozumienia gdańskiego. Sprawa o fundamentalnym znaczeniu i dla instytucji państwa, i dla każdego obywatela. Prace nad ustawą trwały długo. W obiegu publicznym krążyły się z sobą różne projekty, wywołując kontrowersje i wzajemne oskarżenia. Nie mogło być inaczej, gdy wzięto się pod uwagę bezprecedensowy charakter ustawy, jej unikalny charakter w odniesieniu do praktyki i teorii państwa socjalistycznego.

Nie chcę wracać z tej okazji do przeszłości. Nie opót wszystkie dostateczną wiedzę na temat szkód, jakie cenzura wyrządzała na każdym odcinku życia społecznego, politycznego, kulturalnego a nawet gospodarczego. Wolność słowa, swobodne głoszenie różnych poglądów, prawo do krytyki każdej instytucji i osoby, to nie tylko sprawa dobrego samopoczucia, satysfakcji moralnej, poszanowania ludzkiej i obywatelskiej godności, ale także ich bardzo konkretny, praktyczny wymiar. Iluż bowiem błędów, które powodowały miliardowe straty, można było uniknąć, gdyby istniała możliwość ich obniżenia odwołania się do opinii publicznej. Oslawione „zapisy” cenzorskie nistałyby zarówno fałszywe koncepcje decydentów, z obiednym wolumenizmem na czele, a często krytyki zwykłe fałdactwa, głupoty, nie-rolność i nieuczciwość. Za jedopuszczenie do głosu opinii odmiennych, rzeczonych swego czasu za wrogie czy niebezpieczne, płacimy teraz wszyscy jako społeczeństwo z własnej kieszeni, kryjącym i frustracją.

Pomijam straty w sferze kultury. Były one chyba znacznie mniejsze (niż np. spowodowane samą patologią życia politycznego), ale dotkliwe, zwłaszcza w obszarze słowa pisanego. Wprowadzie i tu istniała możliwość ucieczki do nieoficjalnego obiegu, pisanie do szuflady, ale i to wielu ludzi nie ratowało od swoistej sytuacji schizofrenicznej, jako konsekwencji wewnętrznej autocenzury, płacenia zbyt wysokich

kosztów własnych za możliwość publicznego zaistnienia.

Proszę wybaczyć mi wtręt osobisty, ale chciałbym krótko wspomnieć i o sprawach, o których się do tej pory publicznie nie mówiło. Represje cenzorskie dotyczyły nie

Powyższe uwagi nie świadczą, że jestem wrogiem cenzury. Cenzura sama w sobie nie jest dobra ani zła. Jest jedynie narzędziem, które może służyć dobrej lub złej sprawie. (Nie spotkałem się zresztą w żadnym środowisku z postulatami zniesienia cenzury w ogóle). Gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że jako redaktora czasopisma pracownicy z urzędu przy Piotrkowskiej nie raz uchronili mnie od popełnienia i błędów, i głupstw. Obecnie, gdy system działania cenzury podlega rygorom prawa wszyscy mamy nadzieję, że będzie on służył dobrej sprawie. Ustawa jak ją na dzisiaj rozumiemy powinna chronić interes socjalistycznego państwa, to co jest naszą wspólną, nie-naruszalną wartością, a drugiej „stronie” daje gwarancje, że wszyscy co nie narusza tego interesu, ma prawo do publicznej egzystencji. A więc nie widzimy urzędnika, nie kunktatorstwo dygnitarza, będzie decydować, lecz przepis prawa i weryfikacja społecznego odbioru. Oczywiście, ta sytuacja pożądana i idealna, musi zostać poddana próbie życia. Ustawa (żadna) nie może być zbyt szczegółowa i przewidzieć wszystkich okoliczności, jakie niesie życie. Pozostaje też kwestia interpretacji np. co jest, a co nie tajemnicą państwową, itp. Będzie odwoływanie się do wyroków sądowych, zostaną zapisane precedensy, narastać będzie doświadczenie praktyczne. Otwarta jest sprawa różnych druków ulotnych i nie tylko, które mogą znaleźć się (jeśli nie uwzględnia reguł try) pod kurtyną urzędu kontroli prasy. Jeśli ewentualne spory w przyszłości mają przynieść pozytywne skutki, musi wzrosnąć poczucie odpowiedzialności za słowo, rzetelność i rozwaga ludzi pióra, wsparta ufnością drugiej strony w dobre intencje ewentualnych adwersarzy.

W ten tylko sposób termin „temat tabu” będzie można na trwałe wykreślić z naszego słownika.

JERZY WAWRZAK

ODGŁOSY TYGODNIA

tylko twórców niezależnych, liberalnych, opozycyjnych — czy jak ich jeszcze nie nazwać — ale w stopniu nie mniej dotkliwym twórców partyjnych. Przy czym jako „swoich” traktowano ich z jeszcze mniejszą ceremonialnością czy wręcz obcością. Sam jako częsty „klient cenzury” doświadczyłem tych przyjemności na własnej skórze, walcząc z ludźmi z czerwonymi ołówkami, ale i gładząc się na kompromisy, gdyż pryncypia wydawały się ważniejsze od racji jednostkowej.

Jest zrozumiałe, że w sumie 9-godzinne rozmowy Gromyko-Haig wywołały duże zainteresowanie na różnych kontynentach i są tematem licznych komentarzy. Było to przecież pierwsze spotkanie na tak wysokim szczeblu za czasów prezydentury Reagana i to w okresie, kiedy stosunki radziecko-amerykańskie pozostawiają wiele do życzenia. Niektórzy komentatorzy piszą nawet, że właściwie wszystkie działania nowej administracji amerykańskiej wykazywały dotąd, iż programowo odrzuca ona

trudne, a więc może i długotrwałe, ale sam fakt ich podjęcia ma duże znaczenie. Uzgodniono również, że odbędzie się następne spotkanie ministrów, a może cała runda rozmów i że będzie to miało miejsce na początku przyszłego roku. Nie sprzeczowano natomiast tematu i miejsca spotkania. Jak wynika z doniesień naszych korespondentów, nie zostało złożone formalne zaproszenie do wizyty Haiga w Moskwie, z czego można wnioskować, iż rozmowy odbędą się na terenie „neutralnym”.

I wreszcie — postanowiono pozostawić otwartą możliwość spotkania na szczyśle, uzależniając je od generalnego stanu stosunków między obu państwami, ale widząc jak gdyby jego potrzebę. Termin i miejsce nie zostały określone.

Prasa amerykańska pisze, że rozmowy Gromyko-Haig były pożyteczne, przyniosły zapowiedź dalszego dialogu, wprowadziły w stosunkach dwustronnych stan pewnego zawieszenia, ale ich jeszcze nie przełamały w kierunku wyraźnej poprawy. Powołując się na „pewnego wyższego urzędnika, który zastrzegł sobie anonimowość wypowiedzi” stwierdza się, że „proces, który się zaczął, nie będzie łatwy, będzie długi i może uciążliwy. Dla jego realizacji będzie stałe musiał istnieć wysoki stopień jedności Zachodu, a być może stałe manifestowanie woli USA do skorygowania swych militarnych niedociągnięć”. Ten sam „wysoki urzędnik” miał też powiedzieć: „obie strony obstawały przy stanowiskach, jakie zajęły rozpoczynając rozmowy. Obie strony wysłuchały wzajemnych argumentacji i żadna z nich nie odmówiła dyskusowania tematów przedstawianych przez drugą stronę”.

1 października na konferencji prasowej prez. Reagan jak gdyby w nawiązaniu do rozmów Haig-Gromyko podkreślił, że zamierza kontynuować podwójne podejście do ZSRR: prowadzić rozbudowę sił militarnych i prowadzić rozmowy na temat kontroli. Ujawnił też, iż odrzucił ofertę Weinbergera w sprawie redukcji budżetu wojskowego. Wydaje się, że właśnie to najlepiej charakteryzuje pełną niekonsekwencję i niebezpieczną w następstwie politykę prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ale czy będzie mógł oprzeć się naciskom, aby nadal nie napinać sytuacji międzynarodowej i nie prowokować konfliktu?

Poświęciliśmy dzisiejszy przegląd aktualności tylko jednemu tematowi, ale też on jest dominującym w rozważaniach, ocenach i spekulacjach w ostatnich dniach. Wszyscy zdają bowiem sobie sprawę z wpływu wielkich mocarstw na bieg wydarzeń w świecie i w podjęciu normalnego dialogu radziecko-amerykańskiego upatrują szansę na powrót do odprężenia stosunków między państwami oraz pomyślenie rokowań rozbrojeniowych, toczących się w różnych gremiach.

W. SŁAWSKI

TYDZIEŃ W POLITYCE

odprężenie jako element polityki Waszyngtonu. Spotkanie szefów dyplomacji największych państw jest więc powrotem do dialogu w innym okresie i tym bardziej budzi szerokie zaciekawienie.

Rozmowy cechowała poufność, ogłoszony po nich komunikat jest ogólnikowy i podkreśla przede wszystkim rzeczową, spokojną i pozbawioną emocji atmosferę. Ocenia się, że obu stronom bardzo zależało na tym, aby świat zrozumiał, że są zainteresowane dialogiem. Sojusznicy Stanów Zjednoczonych niejednokrotnie za podjęciem takiego dialogu się opowiadali. Reagan natomiast zwlekał. Teraz będzie mógł zaprzeczać, że ma kompleks antydialogowy i patrzy na rozwój wydarzeń skrajnie. Stronie radzieckiej natomiast naprawdę na podjęciu rozmów zależy, ponieważ w swej polityce pokoju nie znajduje żadnej okazji, aby przy stole obrad regulować najpoważniejsze problemy współczesności.

Jakie zapadły wspólne postanowienia?

Jak już informowaliśmy w ub. tygodniu, przede wszystkim ustalono, iż rokowania na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych w Europie rozpoczyna się w Genewie 30 listopada w ramach SALT. Z pewnością będą one

MISTRZ



Foto: A. Wach

„Postać charakterystyczna, w wyglądzie bardziej starszowieka niż sylwetki rówieśników, dzięki sarmackim wosom. Z wyglądem zharmonizowany sposób bycia: niedzisiejsza galanteria w zachowaniu, w chwilach rozweselenia serdeczny, niepowstrzymany śmiech. Humor bez żółci, dowcip bez złośliwości, powaga bez namaszczenia. Ironię odrzuca z zasady — jako nieszlachećną. Wobec siebie samego i wobec innych doradza stosować takie zalecenia: „1. Lub robić coś, 2. Kochaj kogoś, 3. Nie bądź galanem. 4. Żyć poważnie”. Realizując osobiste ideały życia czcigodnego, stara się zawsze z każdego zetknięcia z ludźmi wynieść pewną korzyść intelektualną lub emocjonalną, zarazem ofiarując im w zamian coś cennego” (...)

Tak zwięźle i prosto charakteryzuje Profesora Kotarbińskiego „Słownik filozoficzny”.

Należał do tego rocznika studentów, które spóźniło się o wiele, wiele lat na wykłady Profesora w Uniwersytecie Łódzkim. Koncepcje filozoficzne realizmu, naukę o sprawnym działaniu, a przede wszystkim etykę niezależną odkrywaliśmy sami. Niektórzy pozostali przy tej etyce na stałe. Znaleźli w niej sposób na życie i ideał opiekuna społecznego, który niezależnie od wyznania, poglądów politycznych i czasów, w których żyje, zachowuje postawę opiekuna, na którego można liczyć w trudnych okolicznościach. „Ta zaś postawa implikuje następujące walory: trwałe usposobienie: odwagę, dobre serce, prawdość, wytrwałość w trudach, dyscyplinę wewnętrzną”.

Wielu z nas w trudnych chwilach zwiastowania sięga po „Medytacje o życiu godziwym”, wielu

szukało rady i odpowiedzi na pytanie „co robić a czego nie robić”, aby nie popaść w nieszczęścia i zapobiec złu. Dziś czujemy się dłużnikami Profesora.

Zwykle, gdy odchodzi człowiek wielki i sławny uczony, pojawiają się eseje i rozprawy o-mawiające dzieło jego życia i wkład do historii nauki. Do prac naukowych poświęconych niepowtarzalnemu dorobkowi Profesora Kotarbińskiego tysiące osób dla których był duchowym i intelektualnym mistrzem, dodaje dziś serdeczne i ludzkie — dziękuję. Dodaje też sobie samym stawiana obietnica, iż nie poddadzą się słabości i rozpacz, lecz tak, jak uczył Profesor Kotarbiński, będą „dbać o usuwanie klęsk i zapobieganie złu, działanie, im większe zwalcza zło, lub im większe zło zapobiega”.

(MG)

Dnia 3 października 1981 roku zmarł

TADEUSZ KOTARBIŃSKI

Uczony i Człowiek na miarę epoki

W latach 1945—1949 rektor Uniwersytetu Łódzkiego, doktor honoris causa tegoż uniwersytetu

Przez dzieła swoje pozostanie na zawsze w nauce i kulturze.

Łączymy się w żalobie.

Rektor, senat, pracownicy i studenci Uniwersytetu Łódzkiego

DWAJ LITERACI kieleccy: Stanisław Nyczaj i Stanisław Rogala, są autorami informatora „Pisarze Kieleccy”. Informator składa się z trzech części. W pierwszej scharakteryzowano współczesne życie literackie regionu w formie rozszereżonej o komentarz kroniki wydarzeń, układających się w procesy przeobrażeń i rozwoju. Druga część to prezentacja sylwetek żyjących w regionie pisarzy, wchodzących w skład Kieleckiego Klubu Literackiego, z którego w najbliższym czasie wytoni się prawdopodobnie kiele-

się, wydaje się być przede wszystkim pomocą w pracy młodzieży szkolnej.

NA GÓRNEJ, w plątek 3 b.m., odbyła się uroczystość nadania imienia Władysława Stanisława Reymonta bibliotece dzielnicowej. Uroczystość połączona była z odsłonięciem tablicy ku czci wielkiego pisarza i otwarciem wystawy poświęconej Reymontowi i jego związkowi z Łodzią. Na uroczystości obecni byli bibliotekarze, księgarze, wydawcy, działacze kultury, władze miasta i dzielnicy z wiceprezydentem miasta Łodzi, Zbigniewem Polimem.

W trakcie uroczystości odznaczali Zasłużonego Działacza Kultury uhonorowanego: Teresę Guzyńczak, Ryszarda Kotkowskiego, Wiesława Klepacza, Krystynę Pienkowską, Urszulę Piórkowską, Elżbietę Urbanowicz, Jerzego Rajskiego i Annę Wojtasłak.

Ponadto wręczono 32 osobom nagrody dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi.

STOWARZYSZENIE Twórców Kultury jest organizatorem międzynarodowej wystawy „Konstrukcja w procesie w sztuce lat siedemdziesiątych” oraz wystawy „Falechron Sztuka Polska 1970—1980”.

W MINIONĄ niedzielę w Łodzi rozpoczął swoje obrady XXVI Kongres Międzynarodowej Federacji Dzielnicy. W sesji udział bierze ponad 300 uczestników z 20 państw. W programie kongresu, obok referatów i dyskusji, przewidziano liczne zakłady dzielnicowe.

WE WRZESNIU złożył rezygnację z funkcji prezesa Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich JERZY WAW. RZAK Zarząd Oddziału powierzył pełnię obowiązków prezesa znanemu pisarzowi i publicyście, JERZEMU URBANKIEWICZOWI, dotychczasowemu wiceprezesa ZO ZLP. Na walnym zebraniu Łódzkiego Oddziału ZLP w dniu 4.10.1981 r. postanowiono przełożyć wybory prezesa na termin późniejszy, podejmując równocześnie kroki, wspólnie z ZO ZLP, celem ponownej, organizacyjnej integracji środowiska literackiego Łodzi.

KRONIKA KULTURALNA

cki Oddział Związku Literatów Polskich. Trzecia część stanowi ograniczone z konieczności i niepełne zestawienie bibliograficzne ważniejszych wydawnictw i artykułów.

Informator uwzględnił wszystkich autorów, którzy aktualnie mieszkają i tworzą w regionie, przy czym, że względu na tradycyjne związki środowiska literackiego radomskiego i sandomierskiego, region ten ma zasięg szerszy, niż wyznaczają to granice województwa.

Celem wydania niniejszego informatora, jak pisał jego autorzy w przedmowie, była „pomoc dla tych wszystkich, którzy zainteresowani są organizacją spotkań z pisarzami, ale również badaczom literatury regionu i krytykom”.

Estetycznie wydany, ilustrowany zdjęciami autorów i łatwy w posługiwaniu

odgłosy

REDAGUJE KOLEGIUM: Jerzy Wawrzak (redaktor naczelny), Jerzy Katarasiński (z-ca redaktora naczelnego), Grażyna Szypowska (p.o. sekretarza redakcji), Konrad Frejlich oraz ZESPÓŁ: Ryszard Binkowski, Tadeusz Błażejewski, Małgorzata Golicka, Jacek Indefak, Eugeniusz Iwanicki (z-ca sekretarza redakcji), Ryszard Lucyszyn (fotoreporter), Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Marek Miller, Jerzy Rzymowski, Tomasz Soldenhoff.

OPRACOWANIE GRAFICZNE: Janusz Szymański-Głanc.

NADZÓR TECHNICZNY I KOREKTA: Krystyna Sardecka, Maria Grabska.

Dalszy ciąg ze str. 1

Delegaci zachowują więc swoje mandaty zgodnie z postanowieniem Statutu PZPR i jest to formalne u-sankcjonowanie stanu faktycznego. Tak jest. Ale, co to znaczy w praktyce? Co o tym myślą sami delegaci na IX Zjazd PZPR? Jakże konsekwencje wynikają z ich codziennej pracy, z zachowania mandatu delegata?

Aby odpowiedzieć na te i inne pytania zaprosiliśmy do redakcji „Od-głosów” trzech delegatów na IX Zjazd PZPR:

— LECHOSŁAWA JĘDRZEJCZA-KA z „ELTY”,
— GRZEGORZA KAMINSKIEGO z „BORUTY” w Zgierz, — MICHAŁA PRUSKIEGO z „O-LIMPII”.

Wszyscy trzej są delegatami na IX Zjazd PZPR wybranymi bezpośrednio przez ich fabryczne organizacje partyjne.

„ODGŁOSY”: — Pytanie: co to znaczy zachować ważny mandat delegata? — rozbudujemy może o dodatkowe: jakie z tego wynika obowiązek i jaka wiąże się z tym odpowiedzialność?

M. PRUSKI: — Najpierw może, skąd się wzięła ta idea? Bo to jest ważne dla zrozumienia jej istoty. Nasi wyborcy przez zachowanie naszych mandatów, którymi nas obdarzono w demokratycznych wyborach, stworzyli szansę i możliwość naszego działania, które powinno w określonej sytuacji, zagrażającej prawidłowej pracy partii, zapobiegać takim niebezpiecznym dla partii i społeczeństwa procesom.

L. JĘDRZEJCZAK: — Było to szukanie różnych „bezpieczników” — jeśli można to tak z technokratycznego punktu widzenia określić — które umożliwiłyby nam przeciwdziałanie wszelkim niebezpieczeństwom, które mogą zagrażać partii. A tak już przecież było. Zachowanie mandatu nie daje nam żadnych dodatkowych praw, nakłada tylko obowiązki.

„ODGŁOSY”: — Delegaci na IX Zjazd PZPR działają w ramach Wojewódzkiego Zespołu Delegatów. Co to jest? Czy to jest jakaś — bliżej nieokreślona — forma władzy nad władzami partyjnymi określonymi przez Statut PZPR?

L. JĘDRZEJCZAK: — Nie. Nie jest to żadna forma władzy i taka być nie może. Na zebraniu w „Elesterze” też zadano mi pytanie: co to znaczy zachować mandat? Początkowo nie wiedziałem, co powiedzieć. Po namyśle powiedziałem, że delegat jest jakby „posłem” między najwyższą władzą partyjną, którą jest zjazd, a swoimi wyborcami. Jest to rola łącznika między „dółkami” a „górami”. Musimy wsłuchiwać się w to, co mówi „dół”, czyli nasi wyborcy i przekazywać to, poprzez demokratycznie wybranych przez nas członków najwyższych władz, do „góry”. Myślimy naszych przedstawicieli władz najwyższych partii typowali w demokratycznych praw wyborach wśród delegatów województw i zgłaszaliśmy ich później jako kandydatów na członków i zastępców KC. Oni o tym muszą też pamiętać. Mamy moralne prawo wymagać od nich, żeby reprezentowali w najwyższych władzach te poglądy, które im przyniosły z „dółek” partyjnych. I to już robimy właśnie w ramach WZD. Ale chcielibyśmy też, aby oni nam przynosili obszerne i wyczerpujące informacje z „góry”, bo na te informacje czekają członkowie organizacji partyjnych, z którymi my stale się spotykamy.

G. KAMINSKI: — To muszą być szybkie i rzetelne informacje.

M. PRUSKI: — Mogę się zgodzić na tak rozumianą rolę „posła”, ale rodzi się we mnie pewne wątpliwości. Czy nasze działanie, jako delegatów z ważnym mandatem, nie stanowi jakby dodatkowego zabezpieczenia obok formalnej, statutowej struktury partii?

G. KAMINSKI: — Patrząc na to z pozycji sekretarza organizacji partyjnej.

M. PRUSKI: — Tak. Stąd wątpliwość, czy nie wystarczy działanie w organizacyjnych ramach statutowych, czy tworzenie nowych form działania partyjnego nie wprowadzi zamieszania?

L. JĘDRZEJCZAK: — My nie chcemy wprowadzić żadnego zamieszania. WZD działa przez zjazdem i zrobił wiele pożytecznego, czy teraz mamy usiąść i czekać do Krajowej Konferencji Delegatów?

G. KAMINSKI: — My wybieraliśmy nasze władze partyjne i czujemy się za nie odpowiedzialni. Czujemy się też odpowiedzialni za realizację uchwał IX Zjazdu partii i nie tylko za to, co w tych uchwałach jest napisane, ale również za ducha tych uchwał, za to, aby on był obecny w codziennej działalności partii. Jest to jakby dodatkowa odpowiedzialność członka partii, wynikająca z tego, że ma on zachowany ważny mandat delegata.

„ODGŁOSY”: — Dotyczy to nie tylko delegatów na zjazd, ale i delegatów wszystkich konferencji.

G. KAMINSKI: — To oczywiste. Mieliśmy do tej pory piękne uchwa-



G. KAMINSKI: — Ludzie mówią, że partia ociąga się z rozliczeniami.



M. PRUSKI: — Nie umieliśmy po zjeździe wykorzystać tego rozpadu, jaki powstał przed zjazdem.



L. JĘDRZEJCZAK: — Oni mnie bezpośrednio wybierali i mają do mnie szczególne prawa.

ly, ale ich realizacja pozostawiała wiele do życzenia, była powolna, o-pieszala, bądź te uchwały w ogóle nie były realizowane. Teraz nie można do tego dopuścić. Dlatego potrzebna dodatkowa odpowiedzialność i potrzeba form, w których ta odpowiedzialność mogłaby się realizować.

„ODGŁOSY”: — Delegaci konferencji zakładowych, dzielnicowych i wojewódzkich powinni swą aktywność i odpowiedzialność spełniać w pracach ich organizacji partyjnych oraz komisji problemowych różnych szczebli.

L. JĘDRZEJCZAK: — A my, skoro ponosimy dodatkową odpowiedzialność, jaką obarczyli nas nasi wyborcy, musimy też mieć płaszczyznę dla wymiany poglądów. Jest nią WZD. Współdziałamy z KŁ. Pomagamy instancji. Każdy z nas ma na swoim koncie przynajmniej ze 20 zebrań odbytych już po zjeździe. Dla mało zebranych odbywa się bez udziału delegata na IX Nadzwyczajny Zjazd. Mniej aktywni są lektorzy.

„ODGŁOSY”: — Niektóre organizacje partyjne nieufnie odnoszą się do pracowników aparatu partyjnego.

L. JĘDRZEJCZAK: — Abyśmy więc mogli dobrze spełniać nasz obowiązek utrzymywania kontaktu z organizacjami partyjnymi, musimy mieć dobre informacje. Tuż przed zjazdem, miałem stos różnych informacji, które mi pozwalały...

G. KAMINSKI: — ...mnie szersze spojrzenie na wiele spraw.

L. JĘDRZEJCZAK: — A teraz tego nie mam. Przed zjazdem zarzucał mi KC, że mamy ciągły brak informacji z „góry” i dziś ten zarzut możemy podtrzymać.

„ODGŁOSY”: — WZD ma więc być niejako uzupełnieniem tego braku i organizatorem takiego przepływu informacji.

L. JĘDRZEJCZAK: — W KŁ powinniśmy mieć swój pokój, w którym byłoby wszystkie materiały do wglądu, te materiały jakie KŁ otrzymuje z KC. I powinniśmy mieć dyżury w KŁ, aby każdy, kto chce się spotkać z tym, czy innym delegatem, mógł to zrobić w określonym miejscu i czasie.

M. PRUSKI: — Tylko ja ciągle mam obawę, czy my w ten sposób nie stworzymy jakiegoś nowego szczebla władzy. Na przykład, czy rzeczywiście delegaci na IX Zjazd musieli jechać, aby porozmawiać z wicepremierem w sprawie poprawy zaopatrzenia w żywność Łodzi?

G. KAMINSKI: — Była po prostu potrzeba szybkiego interwencyjnego działania.

L. JĘDRZEJCZAK: — Zgadzałem się, że nie powinni. Ale jaka była sytuacja? Na posiedzenie WZD przysłał sekretarz KD i pamiętając, że delegaci interweniowali już w czasie obrad IX Zjazdu, prosili o ponowną interwencję. Sytuacja w mieście była groźna, czyż więc można było się wówczas zastanawiać, czy delegaci powinni, czy nie powinni?

M. PRUSKI: — Tylko, że to rodzi inne niebezpieczeństwo. WZD staje się szybszy w działaniu od KŁ. Szybciej zbiera się, reaguje. Pozbawiony jest różnych formalnych uwarunkowań, które przeszkadzały w działaniu.

L. JĘDRZEJCZAK: — To dobrze. Nie widzę w tym niebezpieczeństwa.

„ODGŁOSY”: — To powinno pobudzić aparat partyjny do odrzucenia szkodliwej i przeszkadzającej biurokracji i formalizmu.

L. JĘDRZEJCZAK: — Czy my się pogniwamy, kiedy Wydział Organizacyjny KC — zobowiązany zresztą do tego — przysięga nam regulamin pracy? Dopóki tego nie ma, robimy to sami. I wcale z tego, że chcemy działać dla dobra jednoci partii, nie wynika, że chcemy być jakąś władzą.

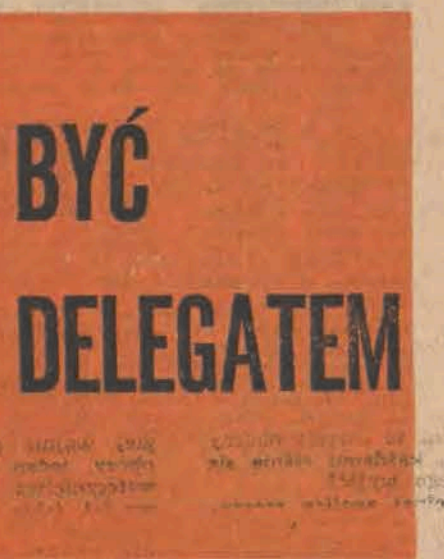
G. KAMINSKI: — Niech inni delegaci z innych szczebli organizacyjnych w partii — też szukają takich form pracy, które służyłyby partii.

„ODGŁOSY”: — Mówi się również o tym, że delegaci na zjazd powinni otrzymywać materiały na plenarne

posiedzenia KŁ i wyrażać na ich temat swoje opinie.

L. JĘDRZEJCZAK: — Byłaby to dodatkowa tylko forma konsultacji. Nic więcej. Ale chciałbym tu zwrócić uwagę na pewną różnicę między nami, wybranymi bezpośrednio w zakładach pracy, a delegatami wybranymi na Łódzkiej Konferencji Partyjnej. My jesteśmy pod bardzo silną presją naszych wyborców. Oni zadają im pytania na jednym zebraniu i chcą, aby na następnym dali im wyczerpującą odpowiedź. Oni mnie bezpośrednio wybierali i mają do mnie szczególne prawa.

M. PRUSKI: — Wyborcy stale mi przypominają, że dali mi mandat zaufania.



„ODGŁOSY”: — Jesteście stale pod ich kontrolą. Czego teraz od was oczekują?

L. JĘDRZEJCZAK: — Zaraz po zjeździe informacji o tym, co się działo na zjeździe. Myślimy to robili jednak lepiej od oficjalnej propagandy. Propaganda nie umiała we właściwy sposób sprzedać demokratycznego charakteru IX Zjazdu, teraz natomiast wyborcy domagają się od nas, abyśmy pilnowali linii IX Zjazdu partii. Do tego dochodzą sprawy aktualne.

G. KAMINSKI: — Spotkania po zjeździe były dla mnie dużym szokiem. Prasa sporo pisała o zjeździe, były transmisje telewizyjne, radiowe. Ale okazywało się, że musiałem wszystko od nowa opowiadać. I po kilku godzinach dyskusji ludzie zaczęli rozumieć znaczenie IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Wtedy zrozumiałem, jaką rolę spełnia właściwa, dobra, rzetelna propaganda.

„ODGŁOSY”: — Może ludzie nie mieli — bo przecież nie mieli i dziś jeszcze w wielu przypadkach nie mają — zaufania do oficjalnych relacji. Stąd chcieli, aby im naoczni świadkowie, uczestnicy tego, co działo się w Pałacu Kultury i Nauki, dokładnie opowiedzieli.

„ODGŁOSY”: — Tylko, że to rodzi inne niebezpieczeństwo, że to tylko delegaci mają pilnować linii IX Zjazdu? Trudno ukryć fakt, że realizacja uchwał IX Zjazdu odeszła na dalszy plan, została przyhamowana. Wspominając o tym różne rezolucje podejmowane w podstawowych organizacjach partyjnych. Dlaczego tak się dzieje?

M. PRUSKI: — Próbowałem na zebraniach dyskutować na temat uchwał IX Zjazdu i doszedłem do szokującego wniosku, że już gdzieś na przełomie lipca i sierpnia, a więc krótko po zakończeniu obrad IX Zjazdu, opadło zainteresowanie uchwałami. Zaczęłam wtedy zadawać konkretne pytania wiążące się z tymi uchwałami i okazało się, że wielu członków partii w ogóle ich nie czytało. Nie umieliśmy po Zjeździe wykorzystać tego rozpadu, jaki powstał przed Zjazdem. To chyba też wina propagandy.

L. JĘDRZEJCZAK: — Pamiętacie uchwały z poprzednich zjazdów? Tam były elementy bardzo chwytliwe dla spopularyzowania. Na przykład nowe świadczenia socjalne. Mówiło się

wówczas, że zjazd załatwił to i to, i taka spopularyzacja była łatwa. Teraz było inaczej. Gdyby w tej uchwale było na przykład stwierdzenie, że Zjazd zwraca się do rządu o zlikwidowanie starego portfela rent, to byłoby łatwiej taką uchwałę spopularyzować.

Ja wiem, że to uproszczenie. Ale kiedyś uchwały zjazdów spopularyzowano przede wszystkim w tych częściach, które nie odnosiły się do spraw politycznych. Teraz trzeba było inaczej do tego podejść. Inaczej te uchwały czytać i co innego z nich wydobywać. Dla mnie na przykład najważniejsze jest to, że Zjazd zdecydowanie poparł reformę gospodarczą. Od tego będzie przecież teraz wszystko zależało.

M. PRUSKI: — Zgadzałem się z tym, że obarczenie tylko delegatów obowiązkiem pilnowania realizacji uchwał jest niebezpieczne. Jak wróciłem ze Zjazdu, to mi powiedzieli: teraz ty musisz pilnować uchwał. A inni? Ich to nie obowiązuje?

L. JĘDRZEJCZAK: — Realizacji uchwał nie mogą pilnować tylko sami delegaci. Przecież Michał Pruski jest nie tylko delegatem, ale i sekretarzem. Musi więc tak organizować pracę organizacji partyjnej, aby wszyscy czuli się odpowiedzialni za realizację uchwał IX Zjazdu.

„ODGŁOSY”: — Spotyka się opinie, że po IX Zjeździe spadła aktywność organizacji partyjnych. Dlaczego tak się stało? Czy tylko dlatego, że uchwały IX Zjazdu nie są realizowane?

G. KAMINSKI: — Moim zdaniem, powodem tego, jest między innymi niespełnienie niektórych zobowiązań w pozajzdowej praktyce, a przede wszystkim ogromny wpływ na tę sytuację ma nie wywiązywanie się z rozliczeń. Z drugiej strony wpływ na tę sytuację ma też propaganda. Jest powszechnie krytykowana. Zdaniem wielu członków partii musi ulec zmianie styl propagandy.

Dziś wszyscy są emocjonalnie ustosunkowani do tego, co się dzieje. Zarówno w partii, jak i w „Solidarności”. To emocjonalne zaangażowanie powoduje, że bardzo łatwo wyuczulany jest każdy fałsz, każda półprawda, każde niedomówienie, z czego wynikają skutki przeciwnie do zamierzeń propagandowych. Podaje się na przykład, ile osób wystąpiło z „Solidarności”. To prawda, ale ludzie oddają też legitymacje partyjne. Co z tego wynika? Nic, bo to nie mówi o przyczynach, dla których ludzie występują i z partii i z „Solidarności”. A przyczyny są bardzo różne. Każde uproszczenie, niedomówienie budzi falę protestów w fabryce.

W organizacjach partyjnych mówi się, że dziś propagandę muszą robić inni ludzie, nie ci sami, którzy ją robili od lat. Potrzeba wymiany kadry.

L. JĘDRZEJCZAK: — Druga sprawa równie ważna, to rozliczenia. Ludzie ciągle pytają, kiedy to się wreszcie skończy. Mowa była o tym również na Zjeździe. Ale sprawy się ciągną. To ludzi denerwuje. Na zebraniach mówią mi, żeby powiedzieć „tam wyżej”, że jak jeszcze raz ukaze się komunikat, kiedy odbędzie się proces Macieja Szczepańskiego, to tego już i tak nikt nie przeczyta, bo nikt już w takie zapewnienia nie wierzy.

Jako delegat mogę zrozumieć, że jest ostra walka polityczna, że ta walka odsuwa pewne sprawy na czas późniejszy, że hamuje niektóre naturalne procesy, które składają się na naszą, socjalistyczną nową. Ale nie wszyscy to rozumieją.

M. PRUSKI: — I to waży na warunkach pracy organizacji partyjnych.

L. JĘDRZEJCZAK: — Wracają nawet pytania o ambasadorstwo Bolesława Koneńskiego.

„ODGŁOSY”: — W tej sprawie używa się między innymi argumentu, że zanim przyszedł do Łodzi, był przedstawicielem PRL w Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim.

G. KAMINSKI: — Sprawa ma inne znaczenie. W czasie głosowania na

Zjeździe niektórym kandydatom wyrażono votum nieufności. Taki był rezultat głosowania. Z tego faktu — spodziewano się — wyciągnięto zos-taną polityczne wnioski przez KC. Ale tak się nie stało. I ludziom nie się na ten temat nie wyjaśnia. Nie ma żadnych decyzji. Ludzie mówią, że partia ociąga się z rozliczeniami.

M. PRUSKI: — To nie partia tak postępuje, ale aparat wykonawczy, administracja partyjna. Tylko, że ludzie tego nie dostrzegają i obwiniają o opieszałość całą partię.

G. KAMINSKI: — Kilku towarzyszy, którzy pracują i kierują różnymi wydziałami KC, też nie otrzymało politycznego zaufania. I z tego też nie wyciągnięto żadnych wniosków.

L. JĘDRZEJCZAK: — A to bardzo nam przeszkadza na „dole”, bo paraliżuje pracę, odbiera wiarygodność.

M. PRUSKI: — Te sprawy przesłaniają inne. I, żeby była pełna jasność, tu wcale nie chodzi o zemstę, czy coś takiego, ale o pewną konsekwencję, która byłaby gwarancją, że te konflikty, zakrety, błędy już się nie powtórzą, że inni będą mieli przykład kary, jaka spotkała tych, którzy zawinili.

„ODGŁOSY”: — Z tych rozważań rodzi się pewien wniosek, że to jednak wy, delegaci, będący pod naciskiem opinii swoich wyborców, musicie czuwać nad sprawną realizacją uchwał IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. I nie wiem, czy to jest dobre?

M. PRUSKI: — Jeśli mamy możliwość szybkiego reagowania na różne zjawiska w partii, jeśli znamy o tych zjawiskach opinie członków partii, to czy mamy nie działać?

L. JĘDRZEJCZAK: — To jest jeszcze sprawa uczuciowego podejścia. My się naprawdę czujemy za ten Zjazd odpowiedzialni. I za władze, które wybraliśmy. Nie kryjemy się z naszymi przemyśleniami. I mówimy, że są ludzie, którym na rękę byłoby aby uchwały IX Zjazdu nie były realizowane, którzy nie są nosnikami nowego. Musimy się tym ludziom, ich działaniom przeciwstawić.

M. PRUSKI: — To bardzo ważne, ten uczuciowy związek z tym, co działo się na Zjeździe. Jak wróciłem z Warszawy, to mówiłem, że to niedobre, że cała partia nie mogła wszystkiego obserwować i przeżywać tak, jak myśmy to przeżywali.

L. JĘDRZEJCZAK: — Gdyby można było, aby cała partia zobaczyła, co się działo, w czasie „godziny szczerości”, to może by nie padały pytania: jak was udało się przekonać?

G. KAMINSKI: — To się nakłada na sytuację, w jakiej się teraz znajdujemy. Kryzys trwa. Ludzie już mają tego dość. Ale w wielu kluczowych sprawach dla ludzi nie się nie dzieje. Padają deklaracje i na tym się kończy. Taką metodą nikogo nie da się przekonać, położyć. Taka metoda nie sprzyja ożywieniu i ofensywności w partii. Ludzie bowiem nie są wcale przekonani, czy po IX Zjeździe odnowę doprowadzi się do końca.

L. JĘDRZEJCZAK: — Czy chcesz przez to powiedzieć, że ludzie, którzy są za odnową, nie wiedzą, jak ją realizować?

G. KAMINSKI: — Niezupełnie. Są i tacy, którzy tylko deklarują, że są za odnową.

L. JĘDRZEJCZAK: — Wróciłem ze Zjazdu przekonany, że linia, którą przejęliśmy jest centrystyczna, odcina wszelkie ekstremy i że większość się za tym opowiadała. Dziś nie wszystkich jakoś widać w działaniu. Jak wyjeżdżałem ze Zjazdu, to byłem przekonany, że Stanisław Kania i Kazimierz Barcikowski...

G. KAMINSKI: — ...i Wojciech Jaruzelski...

L. JĘDRZEJCZAK: — ...i Wojciech Jaruzelski są to ludzie, którzy autentycznie chcą odnowy. Dziś bardzo łatwo się tych ludzi krytykuje. Na zebraniach mówią na przykład, że Stanisław Kania poprzez to, że doprowadził do IX Zjazdu, że wziął na siebie odpowiedzialność za sformułowanie linii politycznej IX Zjazdu, dalszą jej realizację po Zjeździe, poprzez to wszystko, jest autentycznie tym człowiekiem, który chce odnowy. I uważam dalej, że to iż w kraju jest taka, a nie inna sytuacja polityczna, to nie może być przypisywane tylko i sekretarzowi KC. Czy zgadzacie się ze mną?

G. KAMINSKI: — Tak.

M. PRUSKI: — Ja też.

L. JĘDRZEJCZAK: — To wobec tego, my za mało aktywnie bronimy tych ludzi przed atakami.

G. KAMINSKI: — I za mało bronimy Zjazdu, tego wszystkiego, co tam było, o czym się mówiło, do czego się dążyło, a co znalazło swoje odbicie w uchwałach i materiałach zjazdowych.

„ODGŁOSY”: — Delegaci powinni zatem porwać do takiego działania całą partię, a nie tylko występować sami. I to powinno być waszym celem i zadaniem.

Dyskusję opracowała:
BOGDA MADEJ

Foto: R. Łucyszyn

ODGŁOSY 3

żadnym razie nie mogę się jednak zgodzić z tym, co mówi na końcu, a mianowicie, że był on właściwie ofiarą systemu (to co tow. Berman mówi o specyficznej sytuacji, aresztowaniu sekretarki itp.). Wszystkiemu właściwie winni są nasi przyjaciele — taki jest akcent, taki jest wyźwięk, taki jest sens tego, co mówi tow. Berman.

To nie jest przypadek. Kampania prowadzona przez grupę towarzyszy usiłuje takie same argumenty podsuwać i w samokrytyce tow. Minca.

Mam na myśli przemówienie tow. Kuzińskiego, mocno kolportowane w fabrykach Warszawy. Mówi się i pisze, że tow. Minc był autorem pierwszej wersji planu, dobrego planu. Tylko potem narzucono drugi plan, którego Minc nie był autorem. Kto narzucił? Narzucił przyjaciele.

Rozumiem, że tow. Minc pracował w specjalnych warunkach. Był przemysł specjalny, dużo narzucono. Ale tow. Minc jest również autorem drugiej wersji planu. Poza tym wiadomo, jaką politykę prowadził tow. Minc. Czy tu winni byli przyjaciele? (...)

Kampania prowadzona przez niektórych towarzyszy po VII Plenum jest również niewybredna. Ja sam byłem zaskoczony po VII Plenum przebiegiem rozmowy z niektórymi towarzyszami. Jak oni mówili o Związku Radzieckim, że nie może być samodzielną w Polsce, co tego nie chce Związek Radziecki. Że tow. Nowak stawia sprawę żydowską nie sam, ale kieruje nim inna ręka (...)

TRZECI DZIEŃ OBRAD (21 PAŹDZIERNIKA)

Tow. E. OCHAB: — Postanowiłem wczoraj, żeby prowadzić dyskusję do godziny 2, trzeba będzie w czasie przerwy jeszcze się naradzić i zastanowić, jak wobec tego wybrnąć z sytuacji, ponieważ do głosu zapisanych jest około 40 towarzyszy. Tow. Gomulka zgłasza wniosek w sprawie dyskusji.

Tow. W. GOMULKA: — Zdecydowaliśmy — zdaje się, słusznie, żeby zamknąć dyskusję w dniu dzisiejszym (...). I dlatego wysunąłem taki wniosek, by ustalić, kto ma przemawiać, bo tu są zapisani towarzysze, a kto ewentualnie zgłosi swoje wystąpienie tylko na piśmie (...).

Tow. S. ŁAPOT (...) Czy można krytykę towarzyszy, przeprowadzoną na VII Plenum nazwać rozbijaniem jedności? Myślimy już w imię rzekomej jedności robili wiele głupstw w miedawnej przeszłości. Należy skończyć z tego rodzaju metodami raz na zawsze, można się nie zgadzać, można surowo oceniać poglądy czy stanowiska, ale to nie daje nikomu prawa szkalać, odsadzać od czci i wiary, gdyż to nie są metody partyjnej walki, a raczej przypominają, ba, nawet cuchną okremem stalinizmu, a niekiedy berliowszczyzną.

Idźmy dalej — czy można zgodzić się z takimi dziwkami obyczajami i przyjąć je za leninowskie normy, jeśli tego, który ma odmienne zdanie przedstawiać się będzie jako heretyk? (...) Grajmy w otwarte karty: nie podjadłowa walka, nie intrygi i plotki, nie takie sposoby walki powinny cechować komunistów (...). Dwa słowa chciałem powiedzieć na temat prasy i inteligencji (...). Dyktantyzm, ignorowanie wiedzy i tego potencjału, jaki stanowią inteligenci dla naprawy sytuacji, byłoby błędem niewybaczalnym.

Zgadzam się, iż nie mają racji ci, co w śmiech krytykę wielu szczerze ze strony prasy chcieliby widzieć niebezpieczeństwo dla budownictwa socjalistycznego. Na odwrót, wiemy, jak właśnie zaskoczyło budownictwo socjalistyczne to, że prasa przemilała, lakierowała rzeczywistość lub była tylko trybuną, z której można było czytać instrukcje zarządzenia lub oficjalne przemówienia. Wiemy jak bardzo to wyszło nie na zdrowie socjalizmowi, partii i ludziom pracy w Polsce.

Tow. W. KŁOSIEWICZ (...) Właściwe ustawienie roli związków zawodowych uważam za jeden z wielkich problemów procesu demokratyzacji naszego życia. Wiele słów krytyki padło w ostatnim czasie pod adresem związków, nazywano je nawet — a uczynił to opiekun żerańskiej organizacji partyjnej — ropiejącym wrzodem na zdrowym organizmie klasy robotniczej. Trudno nazwać inaczej taką metodę dyskusji, jak ordynarna nagonka (...).

Tow. J. BERMAN Towarzysze, chcę rozwinąć i uzupełnić moje oświadczenie w sprawie popełnionych przeze mnie błędów, ich charakteru i warunków, w jakich powstały, chcę przytoczyć szereg faktów, zatrzymać się na ówczesnej ogólnej sytuacji.

Błędy i wypaczenia okresu 1948-1952 można przedstawić tylko na tle całego spłotu wydarzeń zarówno burzliwego okresu, jak i pewnych ciężkich deformacji dwudziestolecia 1944-1953, tego okresu ostrych i pełnych sprzeczności przeobrażeń rewolucyjnych, a częściowo uwieczniających. Widać wiele towarzyszy nie rozumie jeszcze do końca całej złożoności i grozy ówczesnej sytuacji, która przedstawiała tow. Chruszczow w swoim referacie na XX Zjeździe (...). Gorąco popieram wniosek, aby specjalnie powołana komisja zbadała skrupulatnie wszechstronnie błąd wykładów szczególnie w 1948 roku.

Kiedy się rodził konflikt polityczny w naszym kierownictwie? W 1947 roku na nie utworzenia Biura Informacyjnego (Partii Komunistycznej — przy J. I.)

Spór potęgował się dramatycznie w 1948 roku (...).

Kiedy następuje tragiczne spełnienie z toru różnic i sporów politycznych w chłobiciwa, niacząca psychologiczne snisko-manie? Następuje to w związku z konfliktem z Jugosławia, z procesem Rajka i na tle ogólnego zaognienia sytuacji międzynarodowej w latach 1948-1950. Wtedy na skutek trujących, niszczących wpływów berliowszczyzny następuje wystraszanie i rozwójowej wy-padków (...).

Sprawa Fieldowska toczyła się w atmosferze, która towarzyszyła całemu okresowi między procesem Rajka we wrześniu 1948 r., a procesem Słanckiego w listopadzie 1952 r. i wypadków późniejszych. Metody stosowane przez Kozłowskiego w tej sprawie wyszły na jaw dopiero później, kiedy zostali zwolnieni niektórzy niesłusznie podejrzeni. Sprawa Tatara i innych została podjęta przez Ministerstwo Bezpieczeństwa na podstawie postulatów, podejrzenia i materiałów, które w atmosferze 1948 r. wymagały sprawdzenia (...). Na gruncie tych osu-kańczych materiałów i insynuacji został aresztowany w maju 1950 r. tow. Sny-chalski, a w 1951 r. już na fali zeznań składanych w toku toczące się sprawy — tow. Gomulka.

Ostro sprzeciwiałem się w rozmowach z tow. Bierutem wnioskowi prokuratury co do kilku wyroków śmierci w sprawie Tatara (...). Sprzeciwiałem się długo aresztowaniu ten. Sychalskiego (...). Aresztowaniu tow. Gomulki byłem przeciwny przez cały czas (...). Jak wiadomo, berliowskie naciski w kierunku zmonto-wania procesu w tej sprawie trwały od dawna i nie ustawały. Pierwsze próby czynione były już w procesie Rajka w 1948 r. zaś w sposób brutalny i prawow-każny uczyniono to na procesie Słan-skiego, na który w niedwuznacznym przeciw celu zaproszono przedstawicieli naszej partii. Zmierzano do tego budur-nie zeznań, wiążące tow. Gomulka z urojoną dywersją Ziliacusa i innych. Był to koniec rok 1952.

W sprawie tow. Komara, Ledera i in-nych towarzyszy nie wierzyłem od po-cztku w wysuwanie przeciwko nim za-ruzny (...). W sprawie Anny Duracz była bezpośrednia ingerencja Stalina. Sprze-ciwiałem się do końca aresztowaniu (...). Ziem pod ciężarem podwójnej udręki, nie licząc smory podejrzeń o spieko-stwo, która ciągnęła się przez pięć dłu-kich lat (...).

Wiem, że popełniłem dużo błędów, że wbrew mej woli wyrzuciłem krzywdę niektórym towarzyszom i sprawie, to mi nie dręczy. Nic zawsze w tych barzo zawiłych sytuacjach umiałem znaleźć konsekwentne rozwiązanie, słuszną po-stawę, szczególnie w latach 1949-1953. Ale zawsze działałem w dobrej wierze i chciałem najlepiej spełnić swój obo-wiązek.

Chcę dalszą najbardziej wytyczoną pra-rą, na jaką mnie będzie stać, przyczynić się do tego, aby nigdy już nie było po-wrotu do tego, co było złe, aby pomóc partii iś naprzód, aby pomóc w umac-nianiu jedności partii (...).

Tow. Z. NOWAK: (...) Jeśli idzie, towarzysze, o mój stosunek do za-gadnienia demokratyzacji kraju, chcę o tym powiedzieć dlatego, że w terenie zrobiono wiele, żeby przed-stawić ten mój stosunek zupełnie inaczej. Sądzę, towarzysze, że nie ma co mówić o tym, że znajdując się na tej sali ludzie, którzy są przeciwko demokratyzacji. To było-by nieślusne i ja nikogo o to nie po-sadzam, i nie przypuszczam, że-by ktoś z towarzyszy mógł poważnie mnie o to posadzać. Nie o to więc chodzi. Chodzi o to, i to uważam za potrzebne podkreślić, że nie wszyst-ko to, co się dzieje pod szyldem demokratyzacji, jest dobre. Uważam, że pod szyldem demokracji, uci dzie-ja się również rzeczy nieślusne, a nawet szkodliwe, rzeczy nie wzmac-niające, ale na odwrót, osłabiające nasz ustrój demokracji ludowej. (...)

Tow. GRANAS: — Tow. Nowak mówił, że jest bezwzględnie za de-mokratyzacją i leninowskimi zasa-dami w stosunkach między partiami. Dlaczego tow. Nowak w przemówie-niu na VII Plenum atakował tow. Morawskiego, miał zastrzeżenia do opublikowania artykułu o Poznaniu w „Trybunie Ludu”?

Tow. E. OCHAB: — Zastrzeżenia miało Biuro Polityczne, to nie jest pytanie pod adresem tow. Nowaka. Artykuł tego rodzaju nie może się ukazywać bez wiedzy kierownictwa KC.

Tow. T. DANISZEWSKI (...) Mo-żna by zadać pytanie, czy warto dzia-łać mówić o tym, co było wczoraj, czy warto wspominać sprawy jak gdyby przebrzmiałe? (...) Najlepszym dowodem, że sprawy te nie prze-stały być aktualne, są dzisiejsze przemówienia towarzyszy Łopota, Kłosiewicza i Zenona Nowaka, z których wynika, że bronią swych starych pozycji (...).

Członkowie naszej partii, pomni wielkiej tragedii, jaką przeżyliśmy, pomni straszliwych zbrodni i wypa-czeń minionego okresu, wołają gromkim głosem: Nigdy więcej! Do-maga się, by stworzyć w całym kraju i w partii taki stan rzeczy, który by radykalnie skończył z wszelkimi przejawami fatalnej spu-szcziny epoki „kultu jednostki” który by uniemożliwił recydywę przeszłości nawet w najbliższej, najbardziej zamaskowanej postaci. Jest nim gło-boka, konsekwentna, pozbawiona wszelkich hamulców i konserwa-tywnych oporów demokratyzacja wszelkich dziedzin naszego życia, społeczno-politycznego — od góry do dołu (...).

Tow. M. SPYCHALSKI (...) Trze-ba więc stwierdzić, towarzysze, że w naszej partii konkretnie zainstalił i urządził sobie wygodne życie nurt ideologiczno-polityczny i admini-stracyjny-gospodarczy, którego wy-razem jest administrowanie zamiast gospodarowania w ekonomice, dog-matyzm w teorii, niewykonalność w praktyce, brak zasad w ideologii służaństwu w polityce, sprzeczność między słowami a czynami w mo-ralności, nieladownictwo i kome-dowanie w kulturze. Zmaterializowa-nym wyrazem tego nurtu jest naro-śl kasto-wo-maffijnego charakteru

w aparacie władzy, wykrystalizowa-na wokół niektórych członków kie-rownictwa, którzy faktycznie trakto-wali partię jako folwark, uważając, że nie obowiązują ich ani normy statutowe i obyczajowe życia partyj-nego, ani ustawodawstwo ludowe, ani wymagania mas (...).

Rozstrzygała głęboka nieufność i obawa przed możliwością zaistnienia tej wyróżniającej się pozycji Polski Ludowej w jej specyfice drogi roz-wojowej do socjalizmu, tego co było-by świadectwem bogactwa dróg so-cjalistycznego rozwoju, nowego wkładu do jego praktyki i teorii (...). Aby stworzyć drogę dla „wskazań” i „ujęć” socjalizmu w „tryby planu” scentralizowanego aparatu biurokra-cji trzeba było użyć całego arsenału zatachłej broni szantażu, nacisku, prowokacji i zakłamania, aby wtłoczyć bujnie kielkujące i rosnące szybko siły socjalistyczne u nas w ramy nie odpowiadających już sto-sunków socjalistycznych z okresu walki o władzę klasy robotniczej i jej utrzymanie. Nosiłcie takich „po-glądów” wykorzystali „sprawę jugo-słowiańską”, „sprawę odchylenia na-cjonalistycznego i prawnicowego” dla udowodnienia wbrew faktom „pra-wdziwości” swego schematu.

Stąd niegodne naszego ustroju metody partyjno-polityczne i metody aparatu bezpieczeństwa, które zaham-owały na lata rozwój pogłębiania demokratyzacji naszego ustroju i roz-kwitu socjalistycznej aktywności mas (...).

W cuda, towarzysze, nie wierzymy W cudownych ludzi też nie wierzy-my (...) Ale wierzymy w masy ro-botnicze, w niezawodny ich instynkt klasowy. Szanujemy ich zdania. Masy nam mówią, gdzie jest autory-тет partii, a nie fabrykowany kult. (...)

Tow. E. OCHAB: Proszę towarzy-szy, skorzystam z prawa zgłoszenia do protokołu mojego stanowiska w szereg zagadnień, których poru-szenie na tym plenum wydaje mi się niezbędne (...).

W ciągu kilku ostatnich miesięcy prze-żyliśmy i ja chyba w szczególności, tyle gorzkości, że zdawało się, trudno jest roz-gryzać jakakolwiek gorzka pigułka i stwierdzić, że jeszcze tak nie było. A jednak w ciągu ostatnich dwóch dni mały miśnięcie nowe gorzkie fakty, o których można by powiedzieć, że podpo-bnej gorzkości się nie przeżywało. Spotyka-łem się np. z zupełnie nie uzasadnioną i niesłuszną zarzutami w rozmow-ze z naszymi przyjaciółmi radzieckimi oraz z zjawiskami, które w pewnym stopniu się zjawiały z podkładem tej rozmowy, ale stanowi problem sam dla siebie, a mianowicie z oświadczeniami studentów i robotników, z rezolucjami i wy-nieszeniami wielu ludzi na wielu zebraniach w Polsce, którzy chcą bronić Komitetu Centralnego przeciwko wojs-ku, rzekomo zarządzającemu Komitetowi Centralnemu, czy przeciwko Armii Ra-dzieckiej. Kto z nas mógł sobie kiedyś wyobrazić, że znajdzie się w takiej sy-tuacji, że członkowie partii, ludzie my-słacy z wykształceniem, z zawołanym so-cjalizmem, stają przed takim pro-bblem, dojdą do rozpaczyliwych wnio-sków o rzekome groźbie ze strony wojs-ka czy ze strony przywódców?

(...) Do kogoż to miał pretensje? Oczy-wiście nie do tych studentów, nie do tych młodych robotników, którzy się też wypowiadali, nie chce sugerować, że jest to stanowisko klasy robotniczej, ale niestety są i robotnicy, którzy się tak wypowiadali.

Pretensje trzeba mieć do nas, do kie-rownictwa, do kierownictwa, że dopuściliśmy do wytworzenia się takiej sytuacji. Oczywiście są trudności, niecałkowicie ne trudności, które powstawały na prze-strzeni lat i które chociaż w łagod-niejszych formach — wylaniały się o-becnie w stosunkach między KPZR i KPRZ czy szerzej w stosunkach KPZR z bratnimi partiami robotniczymi i ko-munistycznymi (...).

Gorzką był zarzut postawiony nam przez towarzyszy radzieckich, że nawet w burzliwym kraju, na przykład w Finlandii, nie do formylenia byłoby tego rodzaju artykułu w prasie, oskarże-nia i potrawe pod adresem Związku Radzieckiego, jakie przenikają tu i ów-dzie, wcale zresztą niezażko, na lany następny pracy, a więc prasy kraju i za-granicy (...).

Oczywiście nie do pomysłenia jest również, żeby w Związku Radzieckim ukazywały się w prasie tego rodzaju artykuły osmieszające i szkalujące doro-bek naszego kraju. Wytknięcie jest nie-mądre i szkodliwe, nie do pomysłenia. W-dziwne, że ktoś, kto wypełnia fałszywych pozycji, pod złym kątem i z opancy-mi wnioskami końcowymi rzeczywiste błędy naszej prasy i ten niedobry nastrój, jaki wytwarza się w kraju.

Tutaj też można by postawić pytanie, Ktoż za to odpowiadał? Odpowiedź be-dzie jasna. Za wytworzenie się takiego stanu, za dopuszczenie do niektórych organach naszej prasy, i można powie-dzieć szczerze, na froncie ideologicznym odpowiadała w pierwszym rzędzie nie redaktorzy, nie ci zabłakani publicyści, którzy nieraz wysunęli głusztwa, odpo-wiadamy my, jako kierownictwo partyi, i KPRZ czy szerzej w stosunkach KPZR z bratnimi partiami robotniczymi i ko-munistycznymi (...).

(...) Wydało się że tu trzeba wziąć pod uwagę również wieloletni rozwój sytu-acji w naszym kraju, niemożliwość w stosunkach polsko-radzieckich, niemo-żliwość w stosunkach międzypartyj-nych, błędy i wypaczenia w naszej po-lytyce, błędy i wypaczenia, które prowa-dziły wewnątrz kraju do pogłębiającego się stanu napięcia i wzajemnego pret-n-sji, a potem awersu rodzaju izolacji między kierownictwem — które nieraz jak gdyby miało w ręku wszystkie atu-ty, ale nie zawsze potrafiło wywiczać właściwe wnioski ze znajomości stanu faktycznego i z tych autów — a szero-kim aktywnym partyjnym, który na ogół, widać to dziś z perspektyw, słusznie krytykował kierownictwo partyjne (...).

Opóźniał się jako kierownictwo w stawianiu szeregu zagadnień. Wdzielił się trudna sytuacja, robiłmy wszelki, aby ją opanować, nie potrafi-lismy sprostać tym zadaniom, które na-stawiało przed nami życie. Niewątpliwie jest to wina całego kierownictwa, ale rzecz jasna, szersza odpowiedzialność spada na mnie jako I sekretarza KC. Uważam, że plenum powinno wyłączać wnioski. Po głębokim namyśle nieza-waża, że przynajmniej, która słusznie przy-jęło Biuro Polityczne. Jestem przekonany, że powołanie tow. Własława na sta-nowisko I sekretarza dało nam możność przewiercenia tego ciężkiego stanu, w jakim znalazła się partia.

Tow. H. Minc: Towarzysze, sto-

sownie do zapowiedzi, chciałbym przede wszystkim dokonać samokry-tycznej oceny okresu ubiegłego, a w szczególności planu sześciolletniego. (...) Podstawowe źródło błędów w planie leżało w systemie sprawowa-nia rządów. System, który tylko skróceniem można nazwać systemem kultu jednostki, który istniał i u nas i za który — niezależnie od wszy-stkich głębszych okoliczności — jest odpowiedzialny każdy, kto brał w nim udział, ten system, który pole-gał na skuciu partii i wolnej wymi-łany zadań w partii, czego objawy występowały w naszej partii bardzo dawno, ten system, który doprowadził do dużego oderwania aparatu partyjnego i rządowego od mas i skostnienia tego aparatu, ten system, który prowadził do braku demokra-tycznej kontroli mas nad działalnoś-cią administracji państwowej i gos-podarczej, do skrepowania inicjaty-wy mas, do braku form dla tej in-icjatywy w terenie, przedsiębiorstwa i centrum, ten system nie mógł nie wpłynąć na powstawanie poważnych błędów w planie i w jego wykona-niu, co prowadziło do bardzo złych skutków. Oczywiście, fakt wskazania na te źródła w niczym nie zmniejsza odpowiedzialności ludzi odpowie-dzialnych za określone działy pra-cy, a w tej liczbie i mojej (...).

Jeśli mówimy o demokracji socja-listycznej, to przede wszystkim po-winniśmy przemyśleć i rozwinąć wszystkie możliwe formy władzy mas, kontroli mas i przeciwdziałania skostnieniu aparatu.

Takie formy — to jest właściwe funkcjonowanie Sejmu, to jest samorząd robotniczy w przedsiębiorstwie, to są silne rady terenowe, o-barconce odpowiedzialnością i wła-dzą. (...) Faktem jest, że mamy wy-bory terytorialne. Czy oprócz wy-borów terytorialnych nie powinni-my mieć w formie dwóch izb albo w formie wyborów kurialnych od-rębną reprezentację klasy robotni-czej, zwłaszcza z wielkich zakładów, odrębną, pośrednią reprezentację chłopów, inteligencji pracujących? Przecież faktem jest, że poseł Zera-nia to byłoby coś odmiennego niż poseł Pragi Wschodniej. (...)

Tow. J. CYRANKIEWICZ (...) Nie-kiedy widzę w obecnych nastrojach klasy robotniczej w szczególności warszawskiej, tylko historię czy roz-róbki. Bardzo dziwne, że niektórzy towarzysze, zwykle mniej niż trzeba bawet doceniający psychologię indy-widualną czy społeczną i wulgaryzu-jący przez to marksizm, to teraz w obecnej sytuacji stosują tylko diag-nozę lekarzy z Tworek zamiast ana-lizować społeczne podłoże zjawisk. A jeżeli jest i histeria, i bardzo du-żo zniecierpliwienia, to czyja to wi-na? Czy wszystko, co się dzieło w ostatnich dniach, sprzyja uspokojeniu nastrojów? (...) Są i tacy, którzy w tych nastrojach widzą tylko działal-ność wroga, a nawet konstruują wstępne tezy o agenturach. Znana katarzynka. Ale ona tyle już przegra-ła tych melodii w latach poprzde-nych w naszych krajach, że dziś zgryzta, chrypli, wydaje fałszywe dźwięki. Prywatnie tylko, jak ktoś chce, niech odbywa seanse spirytycz-ne, szukając natchnienia, u Bėrli. Ja, oczywiście, nie neguję nie tylko istnienia, ale i dzia-łalności wroga, ja tylko uważam, że zacząć trzeba od pozbawienia tego wszystkiego co nam obce i wro-gie, pozbawienia wroga podłoża na-szych błędów, podłoża rozbięcia, braku należytego kierownictwa. Jak ktoś się boi malarii, to niech nie la-pie pojedynczych komarów, tylko o-susza to, co jest grząskie i staje się pożywką dla wroga. (...)

Autorytet naszego kierownictwa i na tym odcinku sporo ucierpieł w poprzednim okresie z powodu wypa-czeń tego okresu, z powodu odcho-dzenia od leninowskiego rozumienia stosunków między partiami i kraja-mi w naszym obozie, przez co sto-sunki te nie zawsze układały się na zasadach równości i wzajemnego po-szanowania. Czy na tym żeruje wro-g? Żeruje. Można wyliczać inne sprawy, na których też wroć żeruje. Trzeba załatwiać z większą energią, aniżeli dotychczas. Chodzi mi w tej chwili o coś innego, czy można skutecznie zwalczać działalność wro-ga na odcinku stosunków polsko-ra-dzieckich, nie usuwając i na tym odcinku tego wszystkiego, co było wypaczeniem tych stosunków. Mu-simy je wspólnie z towarzyszami ra-dzieckimi usuwać. Podstawę do tego może stworzyć tylko wzajemne zaufanie. Inaczej być nie może. I to jest droga wyścia. (...)

Tow. A. ZAWADZKI (...) Posta-wiono nam wprost pytanie, czy par-lia chce stanąć i stanie na czele — powtarzam dosłownie — procesu de-mokratyzacji i pokieruje nim. Myś-my odpowiedzieli (delegacji robotni-ków — przyp. J. I.), że temu wła-snie niezmierzniemu ważnemu dla kra-ju i narodu problemowi głównie po-swięcone jest obecne VIII Plenum KC naszej partii.

Spotkanie, o którym mowa, poka-zało nam rzecz dla chwili obecnej i przyszłości bardzo istotną, a miano-wicie, że aczkolwiek ogromny jest niepokój, który świadczy o poważ-nym naruszeniu wzajemnych stosu-nków partii z klasą robotniczą, świad-czy o podważaniu w znacznym stop-niu zaufania w masach do partii

władzy ludowej, to jednak to zaufanie jest, jest u samych podstaw przeżył i postępowych dążeń ludzi pracy naszego kraju, jest w głębi ich serc. Ludzie chcą, żeby nasza partia, żeby jej kierownictwo sta-nęło całkowicie, bez wahań i niedo-mówień na ich czele, dało im sprze-czywane polityczne nastawienie, upowszechniło inicjatywę i doświad-czenie przodujących oddziałów kla-sy robotniczej.

PO PRZERWIE OBIADOWEJ

Tow. E. OCHAB: — Powracamy do naszych obrad.

Tow. B. RUMIŃSKI: — Mam wniosek taki, aby głosować tajnie z wyjątkiem pierwszego sekretarza. (...)

Tow. W. GOMULKA: — Towarzy-sze, ja jestem przeciwny wnioskowi tow. Rumińskiego z takich przyczyn: nie może być pomiędzy członkami Biura i pomiędzy członkami Komite-tu Centralnego zasadniczo żadnych wyróżnień. (...) Zależy, że ktokol-wiek będzie przeciwny temu, że-bym ja był I sekretarzem KC partii, to też będzie moim zdaniem przeci-wny, że-bym wszedł do Biura Po-lytycznego, i dlatego nie chciałbym, żeby ktokolwiek był krępowany jawnym głosem.

Tow. E. OCHAB: — Czy są inne kandydatury obok zgłoszonych przez Biuro Polityczne? Tow. Rumiński i tow. Skrzyszewski pragną zabrać głos.

Tow. SKRZYSZEWSKI: — Ja pro-pozuję, żeby do spisu kandydatów na członków Biura Politycznego włączyć tow. Rokossowski.

Tow. B. RUMIŃSKI: — Wniosek popieram i w tej sprawie chciałbym zabrać głos (...). Towarzysze, mam wahania i mam niepokój co do sa-mej listy, biorąc pod uwagę nie-wprowadzenie tow. Rokossowskiego. (...) Najważniejsze jest to, jak masy w tej atmosferze, jaka jest ostatnio, rozumieją wydzźwięk niewybrania tow. Rokossowskiego. Masy w tej atmosferze, jaka jest ostatnio, zro-zumieją, że jest to akcent przeciw-ko Związkowi Radzieckiemu.

Nie mówiono o tym również otwarcie, a dobrze, żeby o tym z trybuny powiedziano, ale towarzysze mówią w kuluarach, że jest to pró-ba nacisku na Związek Radziecki, metoda nacisku na Związek Ra-dziecki (tow. Albrecht i tow. Sta-rewicz: — Kto? Kto?).

Jestem tym tylko zaniepokoj-o-ny, ale powiem, zdziwiony. Towar-zysz Starzewicz, jeśli już mnie tak napastujecie, to powiem, że wyście mi mówili o tym. Rozmawiałem z wami, zdaje się, w następny dzień po odbyciu się VII Plenum. Mówi-liscie mi, że Polska nie może być samodzielną, bo towarzysze radziec-cy go tego nie dopuszczają i wtrą-cają się wszędzie. Mówiliście mi również o tym, że tow. Chruszczow postawił sprawę tow. Zambrowskie-go na VI Plenum i postawił sprawę żydowską (...).

Tow. E. OCHAB: — Tow. Sta-rewicz prosi o głos w celu złożenia oświadczenia. Proszę, tow. Sta-rewicz.

Tow. STAREWICZ: — W związ-ku z tym, co mówił tow. Rumiński o rozmowach naszych po VII Ple-num (...) Prawda jest, że mówiąc o różnych sprawach mówiliśmy mje-koż innymi również o niepełności normalnych stosunkach między na-mi, a towarzyszami radzieckimi. Chcę powiedzieć, że w tej rozmo-wie tow. Rumiński absolutnie się ze mną zgadzał i powiedział pod ko-niec tej rozmowy: z tobą można się dogadać i z tobą można się zgo-dzić (...).

Tow. E. OCHAB: — (...) Jest spr-awa przegłosowania wniosku za-twierdzającego propozycję Biura w sprawie rezygnacji tow. Minca (...) czy jest ktoś przeciwny przyjęciu tej rezygnacji? Nie ma takiego. W ta-kim razie trzeba uznać, że wniosek został przyjęty.

KRÓTKA PRZERWA

Tow. E. OCHAB: — Pozostaje nam do przegłosowania wniosek zgłoszony przez poprzednie Biuro Polityczne i przez Biuro Polityczne w nowym składzie, mianowicie co do wyboru I sekretarza. Proponuję, aby wybory odbyły się jawnie, tak jak zawsze dotychczas. (...) Biuro Polityczne proponuje wybrać na I sekretarza naszej partii tow. Wła-sława Gomulkę — Wiesława. Kto jest za tym wnioskiem? Proszę o podniesienie ręki do góry. Kto jest przeciwny? Nie ma przeciwnych.

Towarzysze, przekazując przewo-dnictwo tow. Wiesławowi pragnę, pa-mietając o swoim doświadczeniu, życzyć mu z całego serca dużo sił fizycznych i duchowych do właści-wego pokierowania naszym kolektywem.

Tow. W. GOMULKA: Proszę to-warzyszy, chciałem wszystkim wam podziękować za zaufanie, którym po-nownie mnie obdarzyliście. Pra-co-wać będę tak, jak potrafię najlepiej. (...)

(Obrady VIII Plenum kończą się od-spiewaniem „Międzynarodówki”).

Opracował:
JACEK INDELAŁ



Foto: T. Misiak

Dalszy ciąg ze str. 1

mieszkańcy Trójmiasta. Najtłoczniej — przy zwróconym ekranem na zewnątrz monitorze wewnętrznej telewizji, gdzie był podgląd na mównicę i prezydium Zjazdu. Na tej atmosferze pozornego festynu legł cień możliwości konfrontacji, choć, prawdę powiedziawszy, zaniepokojony był tylko pewien dziennikarz japoński dopytujący się na konferencji prasowej, co znacząco na ulicach odkryte jeepy i umundurowane siły porządkowe w hełmach. Sam Zjazd jakby nie dostrzegł atmosfery w kraju wchodząc od samego początku w fazę utarczek słownych, ścierania się poglądów i ostrej krytyki personalnej. Zmienione prezydium obrad, w którym zasiadał między innymi red. K. Turowski z Łodzi, musiało używać całego kunsztu dyplomacji i stanowczości, aby zapanować nad temperamentem delegatów.

Najwięcej kontrowersji wzbudziła decyzja Prezydium KKP w sprawie samorządu pracowniczego, akceptująca w zasadzie kompromisowe rozwiązanie kwestii powoływania i odwoływania dyrektora, które znalazło wyraz w ustawie sejmowej. Ustawa ta, uchwalona także tuż przed odbywającym się Zjazdem „Solidarności” nie wzbudziła entuzjazmu delegatów, choć cały szereg mówców dostrzegło w niej pozytywne elementy i istotny postęp w stosunku do pierwotnej wersji rządowej. Wśród postulatów skrajnych było ponawianie żądanie bezwzględnej jej odrzucenia i przeprowadzenia referendum w myśl załączeń I tury Zjazdu, choć były głosy stwierdzające, że na tego typu de-

monstrację jest już w istocie za późno. Ci, którzy dostrzegali w ustawie same dobre strony byli na mównicy w mniejszości. Osamotniony był także Lech Wałęsa przeżywający goręcy niesprawiedliwych ataków.

Już w pierwszej turze Zjazdu padł wniosek, aby udzielić mu reprimendy. Teraz ta przemożna chęć karzenia przywódcy związkowego powróciła na salę ze zdwojoną siłą znajdując posłuch u delegatów, którzy gotowi byli, w zbiorowym odruchu, zredukować do takiego pustego gestu sens demokracji. Karząca ręka zwracała się przeciwko człowiekowi, który nie tylko wziął na siebie ryzyko zorganizowania ruchu sierpniowego, ale poprzez swój nieklamany autorytet w środowiskach robotniczych stał się gwarantem utrzymania jedności związkowej mimo jej wielostronnych zagrożeń. Wałęsa ma także odwagę mówienia, a nawet czynienia rzeczy niepopularnych, jeśli w jego przekonaniu służy sprawie „Solidarności” jak to się stało 22 września, kiedy głosował wraz z dwójką kolegów za przyjęciem formuły kompromisowej w sprawie samorządu mając świadomość, że narazi się tym wszystkim, którzy zbrojotowali obrady KKP, aby tylko mieć „czyste ręce”.

Losy uchwały Zjazdu potępiającej „samowolę” KKP ważyły się wielokrotnie, ostatecznie jednak zwyciężyła tendencja „antydyktatorska” wyrażona jednak w dość ogólnych słowach:

„Budzący kontrowersje sposób podjęcia przez Prezydium KKP decyzji w sprawie samorządu pomiędzy turami odbywającego się Zjazdu delegacji

ocenianą jako działanie niewłaściwe i nie mogące mieć miejsca w przyszłości. Przyjmując do wiadomości, że podjęcie decyzji było spowodowane potrzebą sformułowania stanowiska przed posiedzeniem Sejmu, musimy stwierdzić, że nastąpiło naruszenie zasad demokracji związkowej. Za niewłaściwe uznać należy również zbyt duży wpływ doradców na podejmowane przez władze związku decyzje. Nowo wybrane władze związku zobowiązują się do wyraźnego określenia funkcji i kompetencji ekspertów”.

Gdyby wziąć za dobrą monetę ataki na samego Wałęsę, na Prezydium

pulację albo nudziarzy „wymachiwano” mandatami z mównicy Zjazdu. Podobnie jak w pierwszej części Zjazdu mnożyły się także wnioski formalne, kontrwnioski, oraz głosowania nad wnioskami a także głosowania w sprawie głosowania nad wnioskami. Skomplikowane piramidy proceduralne, których nie wytrzymywali kondycyjnie delegaci, powodowały, że wiele miejsc na sali świeciło pustkami, za to ożywały się kuluary. Po ustaleniu reguł wyborczych ożywiły się także hotele, w których mieszkali delegaci poszczególnych regionów. Przeciekały stamtąd następne dni różne sensacyjne wieści o sporach a

za wyróżnionego; jeśli uważa, że ma 50 proc. racji należy zwrócić na niego uwagę; jeśli uważa się za nieomylnego w 100 proc. należy go po prostu zamknąć jako człowieka niebezpiecznego dla otoczenia.

Ta uwaga mogła się w równym stopniu odnosić do delegatów, zwłaszcza tych, którzy nie mieli żadnych wątpliwości i dawali gotowe recepty na uzdrowienie sytuacji w kraju. Ale problem ten wystąpił dopiero wówczas, gdy zaczęła się właściwa dyskusja programowa w oparciu o tezy i obszerny dokument specjalnej grupy roboczej, pracującej między innymi Zjazdu, Zarzucono mu od razu

KONWENCJA DZIAŁAŃ AKTYWNYCH

KKP, a zwłaszcza na ekspertów i doradców, można by sądzić, że „Solidarności” grozi co najmniej rozłam, jeśli nie całkowita atomizacja. Były to jednak, w moim odczuciu, reguły wyborczej gry wprowadzone do porządku dziennego na zasadzie szmuglu i mające wszystkie cechy jednostkowej manipulacji. Były głosy pojawiające się i znikające jak komety, które jak wiadomo z lekcji astronomii posiadają niewielką głowę, a za to ogromny warkocz. Te ogony, w postaci potoku błyskających słów działały oszalamiająco na delegatów, ale po chwili przychodziła refleksja. Nie, Zjazd stanowczo nie dawał się schwytać w pułapki demokracji niemal natychmiast następowało ostrzeżenie. Tym jednak co paraliżowało obrady była podejrliwość wszystkich wobec wszystkich i obawa, aby nie być posądzonym o uczestnictwo w jakiejś niejasnej grze. Może dlatego na tablicy satyry w sali gimnastycznej, która była miejscem codziennych konferencji prasowych, pojawił się ostrzegawczy apel:

„Kolego! Sprawdź sam, czy nie stałeś się już nieświadomym członkiem rzeczywistym NIEPRAWDOPODOBNEGO SAMOLIKWIDUJĄCEGO SIĘ ZWIĄZKU ZATRUKACZY „NIEUFNOŚĆ” (...) Każdy może nieświadomie znaleźć się w ponurych szeregach „Nieufności”. Wkrótce ujawnimy cele, statuty, metody i sukcesy „Nieufności” dążącej do tego, żebyśmy się zapluli nawzajem”.

Nieufność i podejrliwość święciły swoje triumfy. Nikt nie był wolny od podejrzeń. Podejrzanych o mani-

nawet kłótniach wyborczych, grubo przed tak zwanymi prawyborami, których termin trzeba było przedłużyć.

Nie ustawał też spór o kształt samorządu, przerzuty faszami dyskusji proceduralnej i wystąpieniami gości zagranicznych, które opóźniały zasadniczą dyskusję programową, aczkolwiek stosunek do samorządu i ustawy sejmowej regulującej jej kształt można w zasadzie uważać za wstęp do takiej dyskusji. Niewielu zwolenników zyskał pogląd, że przeforsowanie ustawy o samorządzie pracowniczym w nowym kształcie, dowodzi zdobycia przez „Solidarności” przywództwa poselskiego w Sejmie. Większość delegatów wychodzących na mównicę widziała w niej same straty, choć jedni i drudzy zyskiwali poklask.

Dopiero w czwartym dniu obrad rozpoczęła się dyskusja nad sprawozdaniem KKP, przedstawionym w I turze Zjazdu. I ten dokument nie wzbudził entuzjazmu, ataki pogłębiły się, choć można zgodzić się, że per saldo wciąż odnosiły zwycięstwo rozsądek i mądrość delegatów. Ich odbicie były wyniki głosowania nad absolutorium dla ustępujących władz związkowych oddające układ sił. Za absolutorium głosowało 557 delegatów, przeciwko 64, zaś 71 wstrzymało się od głosu.

Bardzo interesującą uwagę uczynił na konferencji prasowej Andrzej Rozpłochowski, który roztrząsana była sprawa ekspertów i doradców. Stwierdził on, że jeśli ktoś uważa, że ma 30 proc. racji, to należy uznać go

małą komunikatywność, niespójność i niedostateczną precyzję i inaczej być zresztą nie mogło, skoro Zjazd podzielił się na fundamentalistów i pragmatyków, a te podzieliły znowu na tylko na wystąpienia programowe, ale także na wyniki kolejnych głosowań.

Ważne wydaje mi się stwierdzenie prof. Geremka, że program „Solidarności” nie jest budowany przeciwko nikomu, że jest budowany dla kraju. Te konstruktywne poczynania nazwał prof. Geremek konwencją działań aktywnych i w chwili, gdy piszę te słowa, wiele zdaje się wskazywać, że ten właśnie nurt zdobywa sobie na Zjeździe rzeczywiste prawo obywatelstwa. Jest to linia programowa Lecha Wałęsy, który nie raz dawał do zrozumienia, że walcząc o rzeczywistą niezależność „Solidarności” jest zwolennikiem realizmu i porozumienia.

Kiedy opuszczaliśmy halę „Olivii” dyskusja programowa wchodziła dopiero w decydującą fazę, nie czas więc jeszcze na podsumowanie. Do spraw zawartych w programie trzeba będzie jeszcze nieraz wracać. Jeśli jednak odrzucić z tej dyskusji to, co było wyraźnie robione na pokaz, albo dla taniego poklasku to nie widąc zasadniczych rozbieżności między tym, co proponuje rząd i tym, co proponuje „Solidarności”, dałoby się znaleźć wiele punktów wspólnych, mimo formalnie eksponowanych różnic. Wydaje mi się, że jeden i drugi program cechuje rzeczywista troska o przyszłość Polski, co stanowi dobry prognostyk na przyszłość. A wzajem-

EUGENIUSZ IWANICKI

„DLA DOBRA WSZYSTKICH”

W Łodzi, jako chyba jedynym mieście w kraju, mieści się Zarząd Główny Związku Zawodowego. Myślę o ZGZZ Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego w Polsce. Pozostałe zarządy główne z reguły działają w oderwaniu od swoich branż, a ich siedziby zajmowały okazałe budynki w centralnej dzielnicy Warszawy. Dlatego też po sierpniu 80, właśnie tu, w Łodzi, mimo istnienia silnej „Solidarności”, sporo ludzi opowiedziało się za przynależnością do swojego dawnego związku domagając się jednak modyfikacji jego statutu, metod pracy i żądając przeprowadzenia demokratycznych, nie skrepowanych ogólnymi manipulacjami, wyborów.

Odnawa stała się faktem. 95 procent „starych” działaczy z aparatu związkowego nie uzyskało społecznej aprobaty. Wybrano nowych, kolegów z sąsiedniej hali, od sąsiedniego krosna, takich co to się ich zna, ufa, wierzy. Nie zmieniono także nazwy związku, dodano jedynie przymiotnik „Nieależny”, co ma oznaczać, że NZZZPWOiS od teraz będzie sam decydował o sobie. A przecież związek włókienników ma już 73-letnią tradycję, zapisał niejedną piękną kartę w dziejach miasta, ma klasowy rodowód i stanowi nadal poważną siłę. Nowe kierownictwo związku, wybrane na IX Krajowym Zjeździe „odeszło od biurka” na rzecz pracy w terenie z grupami aktywności związkowej. Dziś NZZZPWOiS ma tyle samo jednostek organizacyjnych w terenie ile było ich przed rokiem. Oczywiście ilość członków uległa zmniejszeniu i dziś szacuje się, że należy do związku 290 tys. osób, 360 przedsiębiorstw, 590 zakładów włókienniczych, odzieżowych i skórzanich.

— Od początku byliśmy przekonani — mówi rzecznik prasowy NZZZPWOiS BOHDAN JACHOWICZ — że ludzie należyście zrozumieją nasze intencje, że jeśli nawet dadzą się ponieść fali ogólnej euforii i przejdą do „Solidarności”, to w krótkim czasie ochłoną i ponownie poproszą o wpisanie ich na naszą listę. I nie za-

wiedliśmy się. Obserwujemy wzrastającą tendencję powrotu. Składa się na to fakt, że nasz związek zdecydowanie i wyraźnie zaznaczył swoją obecność w życiu załóg i miał wiele konkretnych osiągnięć. Od początku postawiliśmy na rzeczowość i rozsądek. Od początku także określiliśmy nasz stosunek do sytuacji w kraju. Nigdy także jako związek nie występowałyśmy przeciwko robotnikom zrzeszonym w „Solidarności”. Szukaliśmy, szukamy i będziemy nadal szukać z nimi prób porozumienia i współpracy. Z tego bierze się większość naszych wspólnych inicjatyw, jakie składamy na ręce ministra przemysłu lekkiego.

Pisząc o związku włókiennarzy, odzieżowców i pracowników przemysłu skórzanego trzeba koniecznie przypomnieć pewien ważki, a szerzej mało znany fakt: otóż na długo przed sierpniem 80 załogi poszczególnych zakładów zgłosiły sporo postulatów do Zarządu Głównego, który odniósł się do nich z powagą, wystąpił do władz resortowych o ich realizację. Postulaty dotyczyły spraw ekonomiczno-płacowych, ochrony pracy, socjalno-bytowych, kultury itp. Niestety, nie wszystkie wówczas udało się zrealizować. Przyczyny są znane. Dopiero po sierpniu 80 ponownie przystąpiono do wcielania ich w życie. Tych postulatów — zarówno tych sprzed sierpnia 80, jak i późniejszych — jest około 7 tysięcy. Sporo z tego wprowadzono już w życie, jak choćby wnioski dotyczące problemów wewnątrzwiązkowych (np. zmniejszenie o połowę aparatów związkowych, który liczy obecnie ok. 80 osób wraz z Zarządem Głównym, oddziałami w terenie, z całym personelem technicznym). A pozostałe postulaty...

Cokwiek załatwia NZZZPWOiS, załatwia dla całych załóg, nie dzieląc ludzi na związki.

Praca na rzecz poprawy warunków socjalno-bytowych od początku sprawiała sporo kłopotów. Rząd w owych trudnych miesiącach odnowy nie bardzo jeszcze wiedział jak rozmawiać z przedstawicielami robotników. Stąd przewlekane, odkładanie,

przeciąganie terminów. Z komisją rządową negocjowały trzy związki (NSZZ „Solidarności”, ZZ Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skózanego oraz Związek Zawodowy Włókiennarzy) trzech przemysłów (odzieżowego, włókienniczego i skórzanego). Czasem siadano przy wspólnym stole, czasem każdy związek prowadził odrębne rozmowy. Najważniejsze jednak, że w wyniku tego wspólnego działania, wyegzekwowano: podwyższenie płac (stawki, dodatki); podpisano porozumienie z ministrem przemysłu lekkiego, dotyczące wprowadzenia nowego układu zbiorowego dla przemysłu lekkiego (znalazły się tu dodatki stażowe, odprawy emerytalne, nagrody jubileuszowe, zasady ciągłości pracy); wprowadzono wolne soboty (a co za tym idzie uzyskano nowe tabele płacowe); po wielu zabiegach i naciskach uzyskano wreszcie dla liczącej reszty chałupników nowe dodatki za staż pracy, nagrody jubileuszowe, odprawy emerytalne i inne świadczenia. Sprawa jest jeszcze „ciepła” bowiem zaledwie 17 września br. minister przemysłu chemicznego i lekkiego wydał w tej sprawie stosowną decyzję. Niewątpliwym osiągnięciem będzie wcielenie w życie zarządzenia rozszerzającego stanowiska pracy zaliczane do I kategorii zatrudnienia (jest to w trakcie opracowania roboczego, na etapie projektu rozporządzenia). Nie jest to sprawa prosta ani łatwa, bowiem obojętnie swym zasięgiem ok. 105 tys. osób. Związek dąży jednak do jak najszybszego wprowadzenia takiego zarządzenia, uznając, że sporo stanowisk w przemyśle lekkim, wcale nie są lekkie i wymagają odrębnego potraktowania. W trakcie opracowywania są także nowe taryfikatory kwalifikacyjne, bowiem obowiązujące dotychczas są mocno przestarzałe i nie odpowiadają istniejącym aktualnie warunkom. Chodzi więc o to, by płaca odpowiadała kwalifikacji. Oczywiście, powie ktoś, że przecież takie taryfikatory będą wprowadzane w całej gospodarce, więc po co się powtarzać. Otóż NZZZPWOiS opracowuje także taryfikatory dla własnych przemysłów wchodzących do związku, wychodząc z założenia, że jest w tej materii najbardziej kompetentny.

Skoło jestem już przy sprawach załatwionych, to należało do nich i takie, jak te, dotyczące tzw. koszyka spożywczo. Jeszcze w roku ub. rząd wprowadził zasadę corocznego ogłaszania minimum socjalnego. Związek zareagował natychmiast, twierdząc, że projekt rządowy jest

biedny, krzywdzący i niesłuszny. Swoje stanowisko związek, przekazał Ministerstwu Pracy, Płac i Spraw Socjalnych. Zresztą związek reaguje na każde uchwały i posunięcia gospodarcze. Ot, choćby sprawa ostatniej podwyżki cen pieczywa i ustalonej za to rekompensaty. Wg wstępnych wyników dokonanych przez Ośrodek Badawczy Zarządu Głównego, rekompensata z tego tytułu nie powinna być niższa niż 175 zł (rządowa wynosi 160 zł). Odpowiednie uchwały w tej sprawie powołały więc do Warszawy.

Związek postuluje także wprowadzenie zasiłku wychowawczego (dla kobiet, które po wykorzystaniu urlopu macierzyńskiego, mogłyby otrzymać urlop płatny na wychowanie dziecka do lat 3). Ten postulat został załatwiony krakowskim targiem: matka może korzystać z takiego urlopu jedynie przez 12 miesięcy. Ale związkowcy nie zrezygnowali, negocjacje trwają.

Zmianie mają ulec także zasiłki rodzinne: związek domaga się by od 1.1.1982 r. zasiłki we wszystkich grupach społecznych wyrównać do tych, jakie obowiązują dziś w MO i wojsku.

Z innych prac należy wspomnieć o projekcie znalezienia zasad gospodarowania środkami funduszu zakładowych: socjalnego i mieszkaniowego. Chodzi o stworzenie możliwości uzyskiwania wyższych pożywek i możliwości ich większego umorzenia.

Pisząc o powyższym zdaje sobie sprawę z faktu, że być może inne związki branżowe, autonomiczne czy „Solidarności” prowadziły lub prowadzą podobne negocjacje z rządem i w wielu zakładach podobne decyzje zostały już wcielone w życie. Jednakże trzeba docenić pracę związkowców z ZZZPWOiS. W swoim oświadczeniu z racji doprowadzenia do podpisania protokołów dodatkowych (nr 33, 34, 35) do Układu Zbiorowego Pracy dla Przemysłu Lekkiego, piszą: „Najważniejsze, że skorystają ludzie pracy — nie jest ważne, który związek więcej, a który mniej załatwił”.

Jednak jednym z najważniejszych działań związku jest przygotowanie „Raportu w sprawie likwidacji pracy na trzeciej zmianie w przemyśle lekkim”. Sprawa ta była omawiana na IV Plenum ZG, który obradował 11 czerwca br. w pałanickim „Palmotexie” z udziałem wiceministra Mirosława Wąsowicza, dyrektorów zjednoczeń branżowych i naukowców z UE i PL. Likwidacja III zmiany jest jednym z zasadniczych postulatów

wysuniętych na IX Krajowym Zjeździe Delegatów Związku. Przez wiele lat problem ten, tak przecież ważny z punktu widzenia medycyny, nie istniał, choć już w 1906 roku Międzynarodowa Organizacja Pracy uchwaliła tzw. konwencję berneńską, zakazującą pracy w nocy dla kobiet. Potem ta konwencja była zastępowana wpraw konwencją nr 4 z roku 1915, potem nr 41 z roku 1934, a po wojnie konwencją nr 89 z 1948 r. Polska do konwencji berneńskiej przystąpiła po pierwszej wojnie światowej, ale później już następnych konwencji nie ratyfikowała. Nie znaczy to, że u nas problem ten pozostawał poza zainteresowaniem i nieraz powracał w pracach związkowych czy sejmowych. Jednak przy wszystkich ujemnych skutkach pracy nocnej jakoś nikt nie chciał zrezygnować z jej istnienia. Dopiero IX Krajowy Zjazd Delegatów Związku zajął w tej sprawie zdecydowane stanowisko.

Praca w nocy, a zwłaszcza praca w nocy dla kobiet, posiada poważne, nieodwracalne skutki dla organizmu. Przede wszystkim kobiety mają słabszą statykę kończyn dolnych (a więc może pojawiać się płaskostopie i szpotawość kolan), zmniejsza się ogólna odporność (co przenosi się później na potomstwo), chroniczny brak snu wywołuje zakłócenie rytmu biologicznego (zakłócenia układu krążenia i funkcjonowania hormonów oraz gruczołów — stąd podatność na cukrzycę, nadciśnienie tętnicze, choroby układu pokarmowego, nadciśnienie tętnicze). Szczególnie podatne na te choroby są młode pracownice w wieku 18—30 lat pracujące na nocnej zmianie, a więc kobiety w wieku, kiedy najczęściej następuje macierzyństwo. Nie mówię już o integracji rodziny i wychowywaniu dzieci. A więc korzyści ze zlikwidowania III zmiany będą niewymiernie wielkie: zdrowotne, rodzinne, społeczne.

Oczywiście likwidacja III zmiany niesie jednak sporo komplikacji: po pierwsze — obniżenie produkcji, po drugie — resort musi znaleźć nowe miejsca pracy dla kobiet odsuniętych z nocnej zmiany. Jednak związkowcy wysuwają sporo konkretnych rozwiązań (przesunięcie wielu pracowników na zmiany dzienne, zapewnienie przejścia na wcześniejsze emerytury osób schorowanych, wycieńczonej, zapewnienie dłuższych urlopów macierzyńskich dla młodych matek, przeszkolenie w celu zmiany zawodu itp.).

Niestety, Ministerstwo Przemysłu

na podejrliwość stanowi gwarancję krytycznego podejścia, które może wzbogacić oba programy.

Długotrwałość obrad Zjazdu mogłaby sugerować, że wszystko na sali „Oliwii” toczy się zbyt powoli, słomazarnie. To wrażenie pogłębiają niekończące się kwestie proceduralne. Kiedy jednak na chłodno przeanalizować zjazdowe dokumenty, których tylko suchy rejestr zająłby objętość sporego artykułu dziennikarskiego, można zrozumieć, że obrady nie są wcale takie powolne, a delegaci dokonali ogromu pracy. Jako humanistę cieszy mnie, że w ich działaniach znalazło się miejsce także na sprawy kultury, czego dowodem podpisanie porozumienia o współpracy ze Związkiem Literatów Polskich i z Komisją Porozumiewawczą Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych. Zadaje to kłam nastrojom antyinteligentkim, które próbowano artykułować na mównicy, a co ostro zgromił Aleksander Małachowski. Siłą „Solidarności” jest jej ogromne zaplecze intelektualne, korzystanie ze wsparcia najfajniejszych umysłów Rzeczypospolitej. Ogromny potencjał twórczy potrafił także uruchomić sam robotnicy, z których inicjatywy zrodził się w Nowej Hucie projekt „Sieci” stanowiący punkt wyjścia do modelu samorządowego w Polsce. (...)

Zdarzeniem ubocznym, ale rzutu-jącym na obrady było wystąpienie profesora Edwarda Lipińskiego, który odczytał komunikat o rozwiązaniu się KOR oraz wygłosił przemówienie określone przez wszystkich niemal natychmiast jako testament ideowy. I ten fakt jest wielce symptomatyczny, świadczy bowiem o tym, że nawet tak zwana opozycja demokratyczna dostrzegła nieodwracalność przemian społecznych w naszym kraju. Powrót do przedsiębiorstw polski jest dziś właściwie niemożliwy bez trudnego do wyobrażenia dramatu. Dlatego musi cieszyć wyświeślenie kampanii gwałtownych pomówień i poszukiwanie linii wzajemnego porozumienia, zgodnie z tym co postulowali w swoim apelu polscy intelektualiści. Każdy, kto tego nie chce, czy nie rozumie, jest wrogiem nas wszystkich. Sojusz sił zdrowego rozsądku jest nie tylko konieczny, ale wprost niezbędny.

Traktujemy często „Solidarność” jak dziecko, do czego przyczynił się plakat zjazdowy. To dziecko zrobiło istotny krok do przodu. To dziecko uczy się także mówić. Trzeba się tylko uważnie wstrząchać w jego wciąż jeszcze nieskładną artykulację.

KONRAD FREJDLICH

Lekkiego wysunęło kontrargumenty. Teraz, kiedy przedsiębiorstwa mają być samodzielne, samorządne i samofinansujące się, zwolnienie nagłe ok. 60 tys. osób może wywołać niepotrzebne konflikty, szczególnie dziś, kiedy produkcja w przemyśle lekim spada niebezpiecznie z powodu braku surowców z zagranicy. Likwidacja III zmiany to uszczęśliwienie ludzi na siłę, to przygotowywanie tysięcy bezrobotnych, którzy mogą nagle znaleźć się poza bramami fabryk. Ministerstwo ma własny plan: do 1985 r. trzecia zmiana przestanie istnieć. Ale nie wcześniej! Proces ma być stopniowy, rozłożony na lata.

Stanowisko ZG NZPPWOIS jest jednak jednoznaczne: trzecia zmiana musi ulec likwidacji i to do końca 1983 r. Proces likwidacji III zmiany winien rozpocząć się natychmiast tam, gdzie to jest możliwe, a sam ten fakt nie może stworzyć podstawy do pozbawienia ludzi miejsc pracy i obniżenia ich warunków materialnych. Dlatego też musi natychmiast dokonać się pełne obsadzenie stanowisk pracy na zmianach dziennych, musi ulec zmianie struktura produkcji, ulepszenie powiązań kooperacyjnych między zakładami i branżami, skorygowanie norm obrotu, zabezpieczenie rezerwy kadrowej, uwzględnienie zasady, że w nowo budowanych przedsiębiorstwach stosowana będzie wyłącznie praca dwuzmianowa oraz dla tych, którzy wyrażą chęć podjęcia pracy w rolnictwie, winno się stworzyć ku temu dogodne warunki.

Powyzsza sprawa wiąże się nierozdzielnie z projektem reformy gospodarczej. Tutaj związek także dopomina się o szczególnie wnikliwe rozpatrywanie spraw przy przesuwaniu ludzi na inne stanowiska pracy w obrębie tego samego zakładu bądź przy przenoszeniu do innych przedsiębiorstw. Szczegółowej ochronie winny podlegać osoby znajdujące się w trudnych warunkach: jedyni żywciele rodzin, samotne matki wychowujące dzieci, rodziny wielodzietne, pracownicy w wieku przedemerytalnym oraz ludzie o zmniejszonej sprawności do pracy.

Postulatów zgłaszanych do rządu, jak już wspomnieliśmy, jest 7 tysięcy. Część z nich została zrealizowana, inne czekają na swoją kolej. Ale dziś najważniejszym działaniem są objęcie dwie, ze wspomnianych spraw: likwidacja III zmiany i przygotowywanie się do wprowadzenia reformy w przedsiębiorstwach. Jak poradzi sobie z nimi NZPPWOIS pokaże niedługo przyszłość.

CZY NAJEMY SIĘ ZYSKIEM?

Dalszy ciąg ze str. 1

Wzrostu, tylko zwierzęta nie miały co jeść. Taka polityka rolna i fatalna polityka cen sprawiły, że pegeerom niewiele opłacało się produkować. Społeczeństwo szemrało, bo głośno nie wolno było o tym mówić, że PGR kładł nam rolnictwo i kosztom państwa doprowadzając do głodu. Ostatnio Ministerstwo Rolnictwa ujawniło wreszcie, że 40 proc. pegeerów, mimo znacznych dotacji, przynosiło straty finansowe. W niektórych przedsiębiorstwach do każdej złotówki z uzyskanej produkcji trzeba było dopłacać drugą złotówkę. Można więc powiedzieć, że była to działalność aspołeczna.

W takiej sytuacji pojawił się „Monitor Polski” z tekstem uchwały Rady Ministrów nr 114, reformującej od 1 lipca system ekonomiczno-finansowy pegeerów. Po lekturze tego krępującego dokumentu pracownicy PGR doszli do wniosku, iż eksperyment przeprowadzony na słabych, dotowanych i „obchuchanych” przedsiębiorstwach, które dotąd sztucznie utrzymywano przy życiu, może przynieść fiasko.

— To, że reforma przyszła w same żniwa, w niczym nie przeszkodziła — mówi Jan Filas, wicedyrektor Zjednoczenia PPGR w Łodzi. — Całe nieszczęście polega na tym, że u nas rok gospodarczy trwa od lipca do lipca i pierwsze efekty będą zauważalne dopiero pod koniec czerwca przyszłego roku. Martwię się, że będą to słabe efekty.

— Dlaczego?

— Dlatego, że przedsiębiorstwa, a szczególnie ich dyrektorzy, znaleźli się między młotem a kowadłem. Z jednej strony dano im wolną rękę i są trzy trazy na „S” (samodzielność, samorządność, samofinansowanie), a z drugiej strony trzyma się ich na obroży. Jak można podejmować jakiegokolwiek decyzje i swobodnie gospodarować, kiedy niemal wszystkie środki produkcji są reglamentowane? Można coś wykombinować z tego, co się laskawie otrzyma od państwa. Jak tu się rzadzić, gdy nadal obowiązują wiele starych, nieopłacalnych cen? Z powodu tych cen nie sposób opracować jakiegokolwiek sensownego planu. Robi się różne asekuracyjne przysmarki. Postępowanie zgodne z przepisami nie powinno się w ogóle robić planów. Dlatego, że taki plan musi przyjąć i zatwierdzić samorząd pracowniczy. Tymczasem nadal nie ma ustawy o przedsiębiorstwie i samorządzie.

— W niektórych przedsiębiorstwach samorządy powstają samorzutnie, bez czekania na ustawę.

— Mamy dziś 21 września. Do tej pory samorządy w naszym Zjednoczeniu nie powstawały. Załogi i dyrektorzy boją się odpowiedzialności i samorządności. Boją się tej reformy. Co z tego, że obiecuje się ludziom 60 proc. premii, czyli 7 pensji dodatkowych? A jak się nie uda? PGR to wielki zakład pod gołym niebem. Ludzi można było ścigać dzięki mieszkaniom. Za co budować teraz mieszkania? Młodzi nie przyjdą, a starzy się wykurzą i będą niezdolni. Podziwiam 17 pracowników z PGR w Byszewie, którzy pracują na 600 ha, chociaż nie mają mieszkań. Dzięki reformie nie nastąpi od razu poprawa warunków socjalnych. Dlatego dyrektorzy i załogi, przynajmniej ich znaczna większość, opowiada się za czasowym utrzymaniem Zjednoczenia. Oni potrzebują ludzi, którzy przez jakiś czas pomagali im wejść w reformę, służąc radą i instrukcją. I nie dziwnego, skoro przez 30 lat pegeerowców tylko pouczano, nakazywano i prowadzono za rękę. W obliczu reformy dziesiątki matych, słabych pegeerów przypomniał małe dzieci, które nie umieją pływać. Jak się je puści na wodę, to z miejsca się potopią...

Z moich sondażów wynika, że załogi i dyrekcje potwierdzają opinię Zjednoczenia. Wielu ludzi jest zdania, iż

w dobre kryzysu, a więc w warunkach nieomal wojennych, powinna obowiązywać silna polityka nakazowa. A jeśli już zdecydowanie ją odrzucamy, to na drodze reformy gospodarczej należałoby wpleść rozbić „góre” i „dół”, pozostawiając ogniwa pośrednie, pomocne we wprowadzeniu reformy. Zresztą „dół” sam się rozbił. Mamy już tego przykłady. W Białaczowie wyrzucą się z przedsiębiorstwa przyłączone na siłę gospodarstwo, małe i słabe, ponieważ nikt nie chce na nie pracować i dzielić z nim zysk. Tylko, że to gospodarstwo z góry skazane jest na zagładę.

— Ja się boję — mówi dyr. Filas — że dziesiątki takich gospodarstw pójdzie w rozsypek. Bo wszystko teraz zależy od banku. Ja nie wiem, czy te młode panienki po studiach z banku będą miały rozeznanie w potrzebach i strukturze gospodarstwa rolnego, czy będą wiedziały, ile, komu i na co dać kredyty. Mam natomiast pewność, że banki będą udzielać kredytów gospodarstwom silnym, wiarygodnym, które na pewno spłacą dług. Słabe nie otrzymają takiej pomocy. Będą wędrować dzięki pożyczkom, jak Polska w minionej dekadzie, a potem...

— Trzeba będzie ogłosić upadek?

— Ja sobie tego nie wyobrażam. W uchwale jest mowa o reorganizacji. Po prostu zlikwiduje się gospodarstwo nierentowne i przekaze innemu przedsiębiorstwu. W ostateczności można je rozparcelować między chłopów. Ale ani chłop, ani spółdzielnia produkcyjna nie wezmą stojącej tam obory giganta. Najsmutniejsze jest to, że gospodarstwa stają się samodzielnymi, ale z obciążeniem milionowych, niechcianych długów z okresu budowy drugiej Polski, długów za gigantów, w których nie przybywa mięsa...

— W uchwale nr 114 mówi się, że jeśli w gospodarstwie produkcja jest nieopłacalna, powinien do niej dopłacać odbiorca.

— To byłoby zbyt proste. Sprawa polega na tym, że jeśli ktoś np. zajęczy sobie dostawy buraków cukrowych, to PGR zawiera z nim umowę, wystawiając w niej koszty własne produkcji. Jeśli odbiorcy to odpowiada, zobowiązuje się dopłacić do kosztów. Ale czy każdy na to pójdzie? Ostatnio cenę zbytu karpia ustalono na 160 zł, natomiast cena detaliczna pozostała stara — 60 zł za kilogram. Centrala Rybna nie chciała kupować od PGR, bo idiotyzmem było sprzedawanie karpia w sklepach po 60 zł. (Ostatecznie podjęto decyzję zrównania cen zbytu i detalicznych na 160 zł przyp. RB).

Trzeba stwierdzić, że wskutek zawisłości i konkurencji przedsiębiorstwa dzielą się bez rozważań i logicznego myślenia. Np. w wielozakładowym przedsiębiorstwie Babsk domy, stówki i inne urządzenia zbudowane dla całego przedsiębiorstwa w samym Babsku. Zakłady idą na samodzielność, żądając własnych maszyn, transportu i mieszkań. A domy w Babsku będą puste. Ludzie ze Zjednoczenia nie mogą im niczego nakazać, ponieważ Zjednoczenie jeszcze istnieje, ale bez przedsiębiorstw, które podlegają już wojewodom. Po dokonaniu rozliczenia za ubiegły rok Zjednoczenie z dniem 1 stycznia 1982 roku ulegnie likwidacji. Co zrobić z fachowcami od rolnictwa? Przekwalifikować ich i zagnąć do innej roboty? Od 1 stycznia na zasadzie dobrowolności mają powstawać wojewódzkie zrzeszenia PGR. Ale wtedy w każdym województwie trzeba zatrudnić nowych ludzi i dać im mieszkania. Dlatego też prezydent Niewiadomski wystąpił z inicjatywą, aby na bazie Zjednoczenia (są fachowcy i lokale) powstało zrzeszenie międzywojewódzkie. Byłoby to chyba słusznym wyjściem, ponieważ „dół” czeka na doradztwo, instruktaż, koordynację poczyną i na rozdzielnictwo, wszystko bowiem trzeba dziś jeszcze rozdzielać. Ponadto dyrektorzy szukają jakiegokolwiek opiekuna, gdyż czują się osaczeni. Z jednej strony stoi wojewoda, który nie zawsze musi się znać na rolnictwie i może podjąć go zna-

sunku do PGR błędne decyzje. Z drugiej strony stoją związki zawodowe. Opłacalność wymaga (choć z bólem serca) wycięcia bydlia, a związki zawodowe powiedzą, że stanowiska w oborze muszą być obstawione. Albo nie zgodzą się na zwolnienie pracowników, chociaż dyrektor stwierdzi, że przez takich bumelantów wynikają same straty. Z trzeciej zaś strony czyha „Solidarność Wiejska”. Niech no tylko dyrektor podejmie jakąś decyzję, służącą z ekonomicznego punktu widzenia dla przedsiębiorstwa, ale niestety społecznie, będzie szum w województwie i w telewizji.

— Reforma doprowadzi do tego, że pegeery przestaną być kotem ratunkowym dla rolnictwa — mówi Eugeniusz Kleśiński, naczelnik wydziału przemysłu rolnego w Zjednoczeniu PPGR w Łodzi. — Ale jednocześnie w pogoni za zyskiem mogą zrujnować



Foto: R. Łucyszyn

gospodarstwa. Mogą być również po-czytane za „wroga ustroju”, a ich działalność za czysto antyspołeczną.

— Potwierdza to wstępne badania NIK. Od 1 lipca nastąpił znaczny spadek pogłowia trzody chlewnej

— Bo nikt nie chce być nierentownym! Jest samodzielność, ale musi być zysk. I będzie zysk. Ale kto go skonsumuje? Zysk będzie wówczas, gdy wyróżnie się krowy i świnię. Nie trzeba będzie sadzić ziemniaków, parować i zadawać świńom. Nie trzeba robić kiszonek, zbierać siano i doć krowy. Wyszarczy zasiał zboże, a potem sprzedać i spokój. Ludzie moralnie czują się nie w porządku, ale likwidują bytło i trzodę chlewną, bo każą im się oszczędzać zysk. Tym bardziej, że PGR muszą sprzedawać żywiec świński po 86 zł za kg, a chłopi i spółdzielnie produkcyjne sprzedają na wolnym rynku po 150 zł. Jeden dyrektor PGR odważył się sprzedać cielne jatówki na rynku. Zrobił aukcję i dostał tyle od chłopców, ile by dostał w POZH. Po co ten cyrk.

— Hodowla jest nieopłacalna, bo cena żywca nie pasuje do ceny pasz.

— Oróż to! Co drugi bochenek chleba piecze się z importowanego zboża. A my mamy teraz piękną pszenicę, którą śrutuje się dla świń i byków. Dlatego, że cena zbóż konsumpcyjnych wynosi 950 zł za kwintal, a zbóż paszowych 1250 zł. Czy nie należałoby wymienić pszenicy na kukurydzę? Państwo z dotacją trzystu złotych sprzedaje chłopom zboże kwalifikowane po 1300 zł za kwintal. Chłopi sprzedają to ziarno na rynku po 2500 zł. Czy nie warto by dawać chłopom 100 kg ziarna kwalifikowanego za 150 kg zboża przez nich zebranego? A kto się zajmie hodowlą zarodową i produkcją nasiennej, jeśli

pegeery nie mają z tego żadnego profi-tu?

— Widzę, że za ten stan rzeczy zaczynać obwiniać chłopów.

— Dziś każdy widzi siebie producentem, a nie konsumentem. Jako konsument złości się i bluźni, natomiast jako producent winduje ceny. Co to za samodzielność, gdy PGR nie może pojechać na rynek, żeby tam sprzedać swinię po dogodnej cenie? Konkurencja będzie wtedy, gdy będzie możliwość zakupu środków produkcji i załatwienia kompleksowo struktura cen.

— To dlatego do dziś nie pracują jeszcze wasze gorzelnie i przetwórnice?

— Jasne! Przetwórstwo w pegeerach też spadnie. I nie dlatego, że brakuje surowca. Ziemniaki są, ale niskoskrobiowe. Chłop nie jest zainteresowany w podwyższeniu skrobi i uprawie dobrych gatunków, gdyż ziemniak jest w jednej cenie. Stoimy do dziś, bo nie ma węgla. A poza tym produkcja stała się nieopłacalna. Na 1 tonę mączki ziemniaczanej potrzeba 8 ton ziemniaków za 27.200 zł, a tonę mączki PGR sprzedaje za 11.800 zł. A gdzie koszty węgla, urzędów, transportu, opłata ludzi?

W sytuacji, gdy wszystkie sektory rolnictwa uznano za równe, pegeery czują się pokrzywdzone. Na paradoszskrawa fakt, że zrównanie jeszcze mocniej zarysowało konflikty na wsi. Pegeerowcy widzą np. że chłop bierze loszki z POZH po 110 zł za kilogram i zabija, żeby sprzedać po 150 zł. W PGR 70 proc. upraw szklarniowych stanowią warzywa. W sektorze prywatnym jest odwrotnie. Wobec tego samodzielne PGR chciałyby również zamiast 500 zł za pomidory z 1 m² mieć 2200 zł za kwiaty. Ale jednocześnie pegeery chciałyby świadczyć usługi suszarnicze dla chłopów. Rolnicy przyjeżdżają z ziemniakami, żeby im przerobić na płatki (nie ma strat w przechowywalności) i psioczą na PGR, bo suszarnia stoi. Dlatego, że nie ma kto zabezpieczyć węgla na usługi suszarnicze. W Januszewicach (woj. piotrkowskie) postawiono suszarnię, która jest nieczynna, ponieważ SKR zajęła ląki i nie ma trawy do suszenia.

Na szczęście w łódzkim Zjednoczeniu nie ma wielu działek chłopskich wepchniętych pegeerom na siłę. Ostatnio zdarzyło się, że kobieta, której ziemię zabrano za długi i przekazano PGR, zaorala pole i obsiała. Dyrektor polecił do prokuratora, a ten orzekł, że dyrektor źle pilnuje, skoro mu się takie numery urząda. Dyrektor przyzwał sąsiadów i na razie panuje cisza...

W pegeerach samodzielność widzą trochę inaczej niż twórcy uchwały nr 114. Chcieliby np. rozwinąć przetwórstwo, mieć własne masarnie, mleczarnie, ale co z tego, kiedy ceny przetworów są bardzo niskie? Dla cieszącego się ogromnym popytem twarogu trzeba dopłacać. Do mieszań pasz nie ma przydziału koncentratów, a można by mieszać pasze dla rólności. Najgorsze jest jednak to, że ceny usług są nieopłacalne. Uchwała nr 114 nie zezwala ani na samodzielne ustalanie cen przetworów, ani na ceny usług.

Gdyby pegeery uzyskiwały autentyczną samodzielność, to można by sobie trochę pofantazjować. PGR otrzymuje za litr spirytusu 85 zł. Chłop za 2 litry spirytusu dostarczyby dzisiaj tonę ziemniaków. W gorzelni jest w bród surowca. Przedsiębiorstwo negocjuje ze związkami zawodowymi i ustala, że 5 proc. zysku ze spirytusu zostaje w przedsiębiorstwie. A ze spirytusu idzie na eksport, to podobnie jak w rzemiośle, część dolarów zostaje w PGR. Za dewizy można kupować maszyny holenderskie. W Ministerstwie Rolnictwa twierdzi się, że pegeery mogą hodować nutrie, norki, lisy, szynszyle, bo jak za dwadzieścia złotych uzyskuje się dolara, to jest dobrze. Rzecz w tym, że z ferm lisich (jak dotąd) pegeery nie dostawały ani dolara, chociaż wszystko szło na eksport. Zyski z ferm zwierząt futerkowych zjadają długi państwa. Tylko znikoma część zysku konsumuje społeczeństwo. Jak za dewizy kupi się trochę mięsa lub zboża.

Nie wiem, czy tedy winna prowadzić droga do zaspokojenia potrzeb żywociowych ludności. Należałoby raczej stworzyć warunki dla zdrowego przyrostu produkcji, opartego na krajowych zasobach pasz. Ale najważniejsza jest sprawa utworzenia specjalnego organu, który zapobiegałby działalności antyspołecznej, do której zmuszane są goniące za zyskiem przedsiębiorstwa. I to nie tylko rolne.

RYSZARD BINKOWSKI

Od redakcji: Już po przeprowadzeniu rozmowy, jak dowiedzieliśmy się z komunikatów radiowych i prasowych, ceny skupu żywca zostały zmienione.

Redaktor S. zapalił papierosa, tyknął koniak i poprawił się w fotelu. Był to człowiek już niemłody, doświadczony, któremu profesja wycisnęła na twarzy niezatarte piętno: zgorzkniały wyraz waskich, zacisniętych ust i ciężkie worki pod oczami.

— Tak, droga młodzieży — powiedział — czas Ziemi Obiecanej nie skończył się jeszcze definitywnie... Pieniądze leżą na ulicy i trzeba tylko wleźć, jak je podnieść.

I my poprawiliśmy się w krzesłach, niektórzy wyjęli notatniki i długopisy.

— Tamtego lata gwoździem programu docznego święta czytelników naszej gazety miał być Złot Weteranów Szos. Numer ten wykombinował zastępca naczelnego. Miewał on zawsze wyborne pomysły, nad których realizacją długo potem lamaliśmy sobie głowy, klnąc go serdecznie, bez nienawiści. Z grubsza chodziło o to, aby w dniu święta naszej gazety zjechały do naszego miasta najstarsze samochody, jakie pętały się jeszcze po kraju.

Zadanie ponad siły jednego człowieka, zwłaszcza młodego dziennikarza, startującego właśnie w zawodzie. Tu trzeba było całego sztabu, organizatorów. Na szczęście przyjaźniłem się wtedy z mecenasem S., zatrudnionym przy obsłudze prawnej naszego święta. Wytrwały ten jurysta, nie gardząc żadną okazją zarobku (w ramach przepisów, rzecz jasna, mniej lub bardziej niejasnych) zwiększył tu jedną z takich właśnie okazji. Postać mecenasa S. wymaga niewątpliwie drobiazgowego konterfektu. Ze względu jednak na ograniczony czas tego wykładu powiem tylko, że łączył w sobie skąpstwo starego Grandeta, przenikliwość Stawrogina i pociesność dobrego wojska Szwejka. Cóż za gratka dla dobrego pisarza...

Podczas krótkiej „konferencji” przy ówiarce wódki i śledziku (mecnas nie chadzał w wódkę lub na jednego, nazywał to „konferencjami” lub „konsultacjami”) u zaprzyjaźnionego „agenta przytulnej knajpki opracowaliśmy z grubsza taktykę działania. Wyszliśmy ze słusznego założenia, że nie ma imprezy bez pieniędzy. Dodam, że nasz naczelnik miał węża w kieszeni i najwygodniej było mu „całkowicie” polegać na inwencji i osobistych kontaktach szanownych „kolegów”. Nie kwapił się tedy, by wyasygnować choć niewielką sumkę na weteranów szos z funduszu, jaki rokrocznie dawała specjalna loteria naszej gazety. Stary kutwił, aby wykasować swą zapobiegliwość. Mielśmy zatem zorganizować złot, a nie mieliśmy pieniędzy... Cóż było robić? Skoro pieniądze nie spadną nam jak kasza manna Żydom — rozmawialiśmy — trzeba kogoś naciągnąć. Nasz wybór padł na rzecz na najbogatsze przedsiębiorstwa w mieście. Sprowadzając ich dokładny wykaz zamówiliśmy jeszcze pół litra i dania gorące. Konferencja przedłużała się. Jeszcze trzejście mecenas S. sporządził w brudnopisie krótką notatkę służbową z naszej konferencji. Oczywiście, nie było tam mowy o żytniej i dwóch golonkach natomiast o „uzgodnieniu działania w związku z organizowanym Złotem Weteranów Szos, główna impreza święta Czytelników”.

Rychno zorientowałem się, że każda mniejsza lub większa bibka, kolacyjka, wódka lub

wódeczka przybierała w sprawozdaniach mecenas S. formę notatki „uźbowej z „konferencji” lub „konsultacji”, nabierała charakteru „wnikliwego komentarza do „przedsięwziętych działań”, gwarantującego redakcji pełne bezpieczeństwo prawne poczynając... Za każdy taki raport liczył sobie odpowiednio... Doszliśmy także do wniosku, że nasza praca koncepcyjna wymaga dokooptowania kogoś do roboty; nasz wybór padł na Jerzego, zaprzyjaźnionego klerownika Biura Turystyki PZMot. Objął on niedawno tę placówkę, był pełen zapału i dobrych chęci do pracy toteż połąkamił się szybko na tę imprezę, która — jak zapewnialiśmy — zyska mu przychylne wejrzenie władz naszego miasta. Jerzy był postawnym grubasem, z nienaganną prezencją, ubierał się efektownie, chociaż z dostrzegalną domieszką małomiasteczkowej elegancji. Najważniejsze było to, że miał odpowiednią prezencję i nosił okulary w złotej oprawie. Na wszelki wypadek tytułowaliśmy go „dyrektorem”.

Z gotową listą przedsiębiorstw, których księgowi nie podejrzewali jeszcze chyrego zamachu na ich finanse, uściśliliśmy nasze działania wtajemniczając Jerzego w szczegóły, w stopniu koniecznym i niezbędnym tylko, rzecz jasna. Naszym głównym zadaniem było wydebić od wspomnianych przedsiębiorstw pieniądze przed wszystkim opłacić hotel, wyżywienie i parkingi dla złotych, nowołać sztab złotu i komandora złotu, opłacić naszego prywatnego księgowego, pobierać własne honoraria, wreszcie byliśmy w końcu uczeni firmą — wydając ów folder...

Już nazajutrz rozpoczęliśmy serię wizyt u dyrektorów wytypowanych przedsiębiorstw. Nad tym procederem zatrzymam się nieco dłużej. Czynności inicjacyjne należały do mnie. Telefonowałem więc z redakcji do dyrektora określonego przedsiębiorstwa informując go o nadchodzącym święcie naszej gazety i o randze, jaką władze naszego miasta przywiązały do powodzenia imprezy. „Mamy w związku z tym „pewną sprawę” do pana dyrektora” — dodawałem i ustalałem termin wizyty. Scenariusz tych wizyt był ściśle zaprogramowany i każdy z naszej trójki miał w nim wyznaczoną rolę do odegrania. Gruby Jurek ograniczał się do roli reprezentacyjnej. Siedział sztywno wyprostowany, w złotych binoklach, zbywając „roznosiłabam” retoryczne pytania, jakie kierowaliśmy do niego podczas rozmów — „Prawda, panie dyrektorze?”, „Czy pan

dyrektor podziela naszą opinię? — i tak dalej. Ja w zasadzie ograniczałem się tylko do szerszego rozwinięcia wątku, przedstawiając go każdorazowo w rozmowie telefonicznej. Rzucałem od niechcenia kilka nazwisk wpływowych osób, mających rzekomo goście na naszym święcie, precyzowałem termin, przedstawiałem rangę imprezy. Niekiedy „Gruby” częstował wonnym papierosem. Główny ciężar odpowiedzialności spoczywał jednak na mecenasie S., był on mianowicie odpowiedzialny za to, by rozmowa przebiegała w należytnym tempie i kierunku; musiał przyspieszać jej bieg, gdy nazbyt długo krążyliśmy wokół forsy, sprowadzać rozmowę na bezpieczniejsze wody, gdy niepotrzebnie kierowała się na rąfę i mierzynę szczegółów, które mogłyby nas skompromitować. Jego obowiązkiem było także rozwiewać prawne wątpliwości interlokutora a przede wszystkim w stosownym momencie, podsuwać wstępne porozumienie do podpisu.

Nasze wizyty przedstawiały

— Jak panu dyrektorowi wiadomo, zbliża się coroczne święto naszej gazety. Pan dyrektor rozumie, władze naszego miasta przywiązują dużą wagę do tej imprezy.

Tu leciał tekst, nobilitujący święto naszej gazety do rangi niemal najważniejszego wydarzenia w mieście.

Jednym z punktów programu ma być impreza propagandowa na rzecz automobilizmu i krajowego przemysłu motoryzacyjnego — przechodziłem wreszcie do meritum. — Taka rewia najstarszych modeli — i najnowszych. Chcielibyśmy po uzgodnieniu z władzami, zaproponować panu dyrektorowi udział w tym przedsięwzięciu.

Teraz znów wygłaszałem swoją kwestię mecenas. Niebawem tonem informowałem o folderze reklamowym, „w którym przewidujemy poczesne miejsce na reklamę przedsiębiorstwa, reprezentowanego, prawda, przez pana dyrektora”.

I tu jest właśnie taka sprawa, ot, drobiazg prawdziwy, lecz niezbędny do omówienia. Nie właściwie pan dyrek-

tor chciałby miejsca na tę reklamę. W kosztach może się to wahać od... — tu padały różne sumy, w zależności od naszej oceny „zamożności” przedsiębiorstwa. Na takie bowiem reklamy w okolicznościowych folderach — co czytelnik zwrócił uwagę — nie obowiązywały żadne cenniki. Sprawa umowna.

Teraz znów wpadałem w słowo mecenasowi informując rozmówcę, iż folder nasz wydany będzie w dużym nakładzie, bogatej szacie graficznej, że trafi z pewnością w ręce władz a i zaproszonych gości, zagranicznych również...

Final jednakże był zawsze improwizacją i różnie bywał rozgrywany. Jeśli dyrektor był jęli i nie wyczuwał daleko posuniętej ogólnikowości naszych sformułowań, nieprecyzyjności w określeniu nakładu folderu, gamy kolorystycznej etc. — mecenas szybko podsuwał mu wstępne porozumienie do podpisu (trzymał je gotowe w tecze). Przy całej swej powściągliwości i panowaniu w tym geście, którym podsuwał pismo moje wytrawne oko dostrzegło tajemną niecierpliwość a potem — gdy przeciwnik złożył już swój podpis — w oczach mecenas S. pojawiał się triumfalny, ironiczny błysk: pobłażliwość i politowanie. A gdy odbierał już z rąk dyrektora pismo z parafą, oznaczającą dla nas kilkanaście tysięcy złotych, gdy wyciągał po to pismo obie ręce — było w tym geście coś z Napoleona, wyrwywającego papieżowi cesarską koronę z rąk, by samemu nasadzić ją sobie na głowę... Z tą chwilą dziwny, szelmowski uśmiech pojawiał się na ustach mecenas S. przemieszczanie pogardy z satysfakcją i wyższością. Odważałem się mu wówczas

głębokim, w serce patrzącym wejrzeniem... Potem wycofywaliśmy się szybko, „nie chcąc zabierać cennego czasu pana dyrektora”.

Bywało jednak, że dyrektor grymasił, wahał się, żądał bliższych szczegółów. Zmuszał nas tercet do karkołomnych improwizacji, niekiedy także do opuszczenia ceny.

Najgorsze chwile przeżywałem wówczas, gdy dyrektor wołał na konsultację głównego księgowego. Ten chciał od razu wiedzieć wszystko. Domagał się określenia kolorów, wielkości reklamy w centymetrach kwadratowych, wielkości nakładu... Kluczyliśmy w myśl zasady — „im ogólniej, tym lepiej”. Nasz wytrwały jurysta pokonywał zwykle ekonomicznie wspomaganą dzielnie w swej argumentacji przez szermierza słowa — dziennikarza. Ilek tam padało słów „koło”, „o ile”, „mniej więcej”, „w zasadzie tak”, „w zasadzie nie”, „ewentualnie”, „oczywiście”, „do uzgodnienia” — i tak dalej... Jako się rzekło — wygrywałem te pojedynki!

ferencje” i „konsultacje” oraz „negocjacje” przy kieliszku i daniach gorących... Coraz dłuższe były też sprawozdania, przedkładał Komitetowi Organizacyjnemu obchodów święta naszej gazety, przez mecenas S. a prawniczego komentarz — coraz bardziej zawiły...

Powołaliśmy też biuro obsługi Złotu, z komandorem i księgowym, których opłacaliśmy z funduszu przekazywanego na nasze konto. Mecenas nagradzał się wspaniałymi odpłatnymi protokołami (pisał ich bardzo dużo, ubezpieczając nasze przedsięwzięcia ze strony prawnej); ja liczyłem sobie za swe „negocjacje” z dyrektorem według umów-zleceń, które przygotowywał mecenas.

Oczywiście Złot udał się wspaniale. Zjechały stare samochody z całego kraju, odbyła się wielka parada na głównej ulicy miasta. Na starożytnych „Buickach”, „Stejerach”, „Fiatach”, „BMW” i „Oldsmobilach” i „dekawkach” jechały kolorowo odziane modelki „Telimeny”, rzucając w tłum czerwone goździki...

Tylko podczas ostatnich dni, poprzedzających Złot mieliśmy trochę kłopotów z Jerzym; w trakcie naszych „impreznych konferencji” łapał się niekiedy za głowę mówiąc błagalnie:

— Kochani, nie chcę zgnieć w więzieniu...

Mecnas przybierał wówczas postawę z lekką wyniosłością, spoglądał na Jerzego z dumą wyższości, klepiąc go protekcjonalnie po ramieniu:

— Ze mną nie zginięsz...

Zapytacie zapewne, co z folderem?

Cóż, ukazał się rzeczywiście i, w istocie, zawierał reklamy wszystkich przedsiębiorstw, które poknęły haczyk. Tylko że nakład był skromniutki, papier podły, kolorystyka uboga i mała — ale cóż? po naszych słowach „obietkach-cacankach” nie pozostał nawet ślad na papierze. Mecenas sporządzając „wstępne porozumienia” starannie wystrzegając się konkretów... Folder zrobił imprezę.

„Owszem, kilku dyrektorów zniemawidziło nas serdecznie. Nie muszę dodawać, że nienawidzili nas za swą własną głupotę. Impreze jednak rozliczyliśmy, jak należy a nawet przekazaliśmy niewielką kwotę na Fundusz Zdrowia Dziecka. Było to posunięcie mądre, taktycznie słusne i — eleganckie, nie na darmo mecenas był kiedyś prokuratorem, a nasz prywatny księgowy — byłym naczelnikiem inspektoratu kontrolno-rewizyjnego. Byliśmy czysti — tylko złośliwi twierdzili, że zasłużony urlopy, na które wnet po Złocie rozjechaliliśmy się w różne strony kraju i Europy — miay na celu czasowe „zniknięcie z oczu”. Jedyne Jerzy zdążył jeszcze odebrać kilka obelżywych telefonów od niekulturalnych księgowych, w sumie przecież prawo triumfowało. Prawo i przepisy, wiele przepisów, bardzo wiele różnych przepisów, których wybornym znawcą był mecenas S. Dodam skromnie, że w swej macierzystej redakcji otrzymałem pochwałę za zorganizowanie Złotu bez wydania nawet jednej złotówki.

Tak, tak, moi młodzi przyjaciele — zakończył redaktor S. — pieniądze leżą na ulicy. Dopió kawy, zassał papierosa, wonny smrodek unosił się w powietrzu...

ZŁOT WETERANÓW SZOS

opowiadanie prawie prawdziwe

MARIAN MISZAŁSKI

się mniej więcej według takiego schematu:

Wchodziliśmy do sekretariatu dyrektora, sekretarka prosiła zazwyczaj, by spocząć: „Pan dyrektor zaraz poprosi...”. Mecenas żartował z dziewczyną, prawil jej komplementy, całował rączki. Jerzy zachowywał powagę, dumnie wyprostowany w krześle, popatrując niebieskimi oczkami z grubych szkieł w złotą oprawie. Wreszcie proszono do gabinetu. Krótka prezenacja; zasiadaliśmy w fotelach.

Ładnie tu u pana dyrektora — zagajał niefrasobliwie mecenas, rozglądając się z udanym zainteresowaniem; to zaciekawiła go popielniczka, to proporczyk na ścianie albo zgola jakiś szczegół garderoby dyrektora:

— Świętą pan ma koszulę, panie dyrektorze... To bawelna? Gdzie to można kupić?...

I tak dalej, w tym stylu, wstępne pogaduszki, w których był prawdziwym wirtuozem banalnych tematów. Szczwany lis często też skarżył się w tych pogawkach na swe zdrowie tylko po to, aby powiedzieć starszemu od siebie już na pierwszy rzut oka „rektorowi:

— Eeee, panie dyrektorze, pan przy mnie to młody człowiek, znakomicie pan wygląda... Te pogaduszki rozluźniały atmosferę. Kiedy ja wkraczałem do akcji, z mową cokolwiek poważniejszą, miałem już grunt przygotowany, rozmiękczony. A moja rola rozpoczynała się wtedy, gdy po kilkunastu minutach owej banalnej rozmowy — dyrektor pytał zazwyczaj:

— To co właściwie sprowadza panów do mnie...

Był to sygnał dla mnie, ot, szept inspicjenta „Teraz ty”...

drzewa idą parami jak konie z sytego wypasu, już czas najwyższy, ażeby las wyprowadził się z lasu.

A kto tam bieży na końcu? Kto się o wszystko troska? Nie poznajecie? Urszula. Urszula Kochanowska. 1981

LISTOPAD 1830

W sto pięćdziesiąt lat później chodzę po tych stronach, gdzie Olszyna Grochowska, Reduta Ordona, gdzie Wola Sowińskiego, Arsenal, Powiśle. Chodzę po tamtych czasach i tak sobie myślę: olchy dzisiaj lewicy wtedy były młode, wiatr jesienny o zmierzchu muskał ich urodę, brzołek jeszcze nie było a sosna niewiele, słońce szło po błękitnie jak księżdź po kościele, ostatnie liście z drzewa listopad zabierał i świat w zimę zapadał, więc jakby umierał.

I w on czas listopada po krawędzi nocy biegli podchorążowie, prawie jeszcze chłopcy,

karabiny na plecach, w kieszeniach szrapnele, jak sztandary na wietrze chwiał się szynel. Na Stare Miasto jedni, na Belweder — inni, zakosztować swobody, znieść krzywdy i winy. Już na Solcu piomienie: znak dany do boju. W tym kraju dni nie kwitły różami pokoju, w tym kraju marło nocą, co zrodził poranek i niechaj nas nie zwodzi urodzaj sianek.

Mgła otulała ziemię, śnieg jak kasza padał, zima już była blisko, za progiem sąsiada, każdy do czynu nagił, gniewem ogarnięty, a gniew to był szalony i jak ogień święty. Szli powstańcy przez śniegi, zwycięstwa, nadzieje, szli przez klęski, zwątpienia, mrozy i zawieje, padali i gineli, padali-wstawali, nawet ten, co iść nie mógł, maszerował dalej. Sen wleżał się u powiek, puchły ranne stopy, za ojczyznę się bijąc, bronili Europy.

Nie złamają ich pochlebstwa, groźby nie przestraszą, oni giną za naszą wolność i za waszą.

Listopad 1980

NR 41 (1244) ROK XXIV 11 PAŹDZIERNIKA 1981 R.

JAN KOPROWSKI

LEŚMIAN

Wchodzimy w jego wiersze jak w las mroczny i gęsty, pod stopami jagód czerwonych zielone chręsty, wysoko wierzchołki jaworów, błękitu peleryna, nagle wśród ciżby liści wiatr struny leśne napina, do wtóru wtórzają ptaki: wilgi, kraski i kosy i śpiew płynie faliste aż pod same niebiosy.

Leśnymi przecinkami idą ślepi i głusi: jeden za drugim, kulawiec, co iść wcale nie musi, Swidryga z Midrygą biorą się razem pod bok, obaj tańczą na ziemi, a w górze tańczą obłoki. Jest coraz ludniej i gwarniej, wzmacnia się leśna wrzawa, zjawiają się na polanie Urwasi i Pururawa, idą dzieciocy i chrząszcze, maślaki i borowiki, i krasnale: na nogach czerwone mają trzewiki.

Zdumieni ruszyli drwale, siekiery zostały w parowie, zamiast mrocznej gęstwiny, jasne się robi pustkowie,

ODGŁOSY 8

POEZJA

Grono łódzkich literatów, tłumaczy, oraz Wydawnictwo Łódzkie mają niemałe, a kto wie zresztą, czy nie największe w Polsce, zasługi w utrzymywaniu ciągłości tradycji polsko-białoruskich kontaktów literackich. Oto bowiem ukazał się kolejny białoruski tomik, wybór liryków przedstawicieli młodszej pokolenia twórców tzw. „nowej fali” w literaturze białoruskiej — Danuty Biczal-Zahnietały — w przekładach Tadeusza Chrościelewskiego, Jana Huszczy, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, Igora Sikirskiego oraz Macieja Józefa Kononowicza, który wyboru dokonał.

Zanim przejdziemy do omówienia tego tomiku, słów kilka chociażby z historii kontaktów, których, jak się wydaje, dziś prócz naszych białorusenistów niewiele chyba Polaków cokolwiek powiedzieć by mogło i trudno się temu dziwić, skoro porusza się te sprawy w

i Polakom: naszym świątyniom, do których, mimo odmiennej wiary, wstępował nieraz białoruski poeta, by „zabliźnić w sercu rany, by zapomnieć o niedoli”, by „myśli z gorzkiej wywołić”. W Warszawie, jej ulicom, jej rozstrzelanym powstańcom, Matkom Polkom „niosącym w rękach zapaloną świeczkę”, „u dzień pamięn”, wreszcie twórcom naszej literatury — najbardziej tu popularnym — Władysławowi Syrokomli, Marii Konopnickiej „Jasnawialmożnej Pani Arszczyście” (Orzeszkowej — WP) i, oczywiście, Adamowi Mickiewiczowi. Dowodów takiej sympatii i uznania nie zabrakło również w tomiku Danuty Biczal-Zahnietały.

W króciutkiej notce zamieszczonej na końcu tomiku „Ty to Ty” Maciej Józef Kononowicz pisze, że w twórczości białoruskiej poetki odnajdziemy „refreńskie poetyckie o ziemi, przyrodzie, krajobrazie, doł ludu i wojnie”, ale, że tę — dodajmy — tradycyjną dla poezji białoruskiej tematykę wzbogaca poetka, nowymi tematami i adekwatną do tych tematów nową poetyką. Introspekcja, pytania stawiane sobie i

człowiek jest częścią wiecznie odradzającej się przyrody, poczucie łączności, jedności z nią to jeden z podstawowych warunków naszego spokoju, radości życia, trwania, tworzenia.

„Rak opalonych zamach —
Lekkie muśnięcie fal.
Sama stać się tobą —
Pójdę, popynę
W dal.”

Nie jedyny to oczywiście warunek. W świecie ludzi trudniej o harmonijne, bezkonfliktowe współzycie. Szczególnie trudna jest sytuacja kobiety współczesnej, emancypantki drugiej połowy XX wieku. „Powód jej zacołania”? Kuchnia, krzątania od świtu do nocy, „tracenie nerwów na męża, dzieciarnię”, Czy stać ją na „filozoficzne pytania”? Kim jest? Kim powinna być przede wszystkim?

„Na świat się zjawiam,
by karmić i pieścić.

gdy w jednej ze strof „rymowanym płaczem” śpiewa: „Litwo! Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie...” czy gdy mówi o swym przywiązaniu — jak „do relikwii” — do żyjących tu jeszcze postaci „nie tylko rodzinnych”, które dziś jeszcze, jak „Miss miasta Grodna” Panią Kozłowską spotkać można w tym mieście u „zamczyńska, siedziby Batorych”.

Zródłem radości dla każdego jest jego pieśń, jest wiara, iż pieśń ta nie przeminie, że potrzebna jest ludzkom. Pieśń Danuty Biczal-Zahnietały — podkreślmy to raz jeszcze — mocno osadzona jest w poezji ludowej, w folklorze białoruskim. Świadomie sięga również i do tradycji literackich, przede wszystkim ojczyńskich, m. in. do Janki Kupaly („biore lekcie słowa od Kupaly”), ale również chyba i do nastrojowej poezji Zmitraka Białuli, której podmiot liryczny tak silnie związany jest z uczuloną przyrodą. Z całą pewnością znana jej jest doskonała poezja rosyjska, zwłaszcza miniatury liryczne Anny Achmatowej i pasterski Jesienin, a także polska: Mickiewicz, Konopnicka, Pawlikowska-Jasnorzewska — a zapewne i niektórzy z naszych współczesnych. Trudne jest dokonanie głębszej analizy ideowo-artystycznych walorów tomiku „Ty to Ty” bez sprawdzenia oryginałów. Poczynmy więc jedynie kilka uwag ogólnych, zakładając, że przekłady są maksymalnie wierne. Otóż w tomiku, naszym zdaniem, znalazły się utwory o bardzo zróżnicowanej randze artystycznej. Kilka z nich swą banalną treścią i formą przypomina skądinąd uroczy, wierszyk:

„Idą, idą dzieci drogą,
Siostrzyzka i brat
I nadszli się nie mogą,
Jaki piękny świat!”

Inną grupkę stanowią wiersze o równie prostej (nawet) treści i mało odkrywczej formie, lecz rozbijające swym liryzmem, jakąś dziecięcą czy może dziewczęcą szczerością wyznań, co sprawia, iż zaczynamy wierzyć, że są to prawdy po raz pierwszy głoszone, także — wiarę w uzdrawiającą, „czarodziejską moc” „tajemniczego słowa”.

W kilku wierszach-deklaracjach Danuta Biczal-Zahnietały wyznaje, że największym jej pragnieniem jest oddanie w swej poezji całej złożoności życia, wewnętrznej, dialektyki „sprzecznych uczuć”, „muzyki własnego serca”. Niekiedy są to jedynie deklaracje. W kilku jednak wypadkach, trzeba przyznać, udaje się jej ów „nieuchwytny ruch duszy nazwać słowem”. I tu zaczyna się już poezja.

Najbardziej godne uwagi są oczywiście utwory, w których autorka, podejmując nawet tradycyjne dla białoruskiej poezji tematy, stara się im nadać formy bardziej wysublimowane, nowoczesne, nie sili się przy tym na nowość za wszelką cenę, utwory, w których zaskoczy nas choćby jedna oryginalna metafora, gdzie słowo nabiera wieloznaczności, zaczyna mówić podtekst, a oprócz świata realnego pojawia się nagle świat „co się nigdy nie zdarzy”.

Miniatury liryczne Danuty Biczal-Zahnietały ze szczególną uwagą czytać zapewne będzie i inna miara, miara wzruszeń, oceniać ten czytelnik, dla którego Swięta, „Niema, nieścisłe boki”, „prużański bór”, „Nowogródka mury” czy błota i bezdroża Połesia to nie tylko zwykłe geograficzne nazwy, lecz nieśmiertelniejsza ojczyzna, zachowana w wiernej pamięci, „święta i czysta jak pierwsze kochanie”.

WITOLD PARNIEWSKI

Danuta Biczal-Zahnietały „Ty to Ty”. Wyboru dokonał i notą opatrzył Maciej Józef Kononowicz. Łódź 1981, Wydawnictwo Łódzkie, str. 89.

SPROSTOWANIE

W numerze 32 „Odgłosów” w recenzji Ewy Nowak nt. „O nauce i poezji” błędnie został wydrukowany tytuł Włodek na brzmieniu „Włodek” (zamiast Włodek). Autora i Czytelników przepraszamy.

REDAKCJA

W POSZUKIWANIU ŁADU SERCA O MINIATURACH LIRYCZNYCH DANUTY BICZAL - ZAHNIETAŁY

zasadzie tylko na łamach fachowych czasopism slawistycznych. A szkoda, bo niezwykle ciekawe i piękne to tradycje, sięgające wielu stuleci, szczególnie widoczne w wieku XIX, w okresie rozbiorów Polski, kiedy to oba narody znalazły się w sytuacji podobnej — w niewoli imperializmu rosyjskiego. Przypomnijmy, że Białorusini brali czynny udział w naszych zrywach niepodległościowych, walcząc o naszą i własną wolność z caratem, który nigdy nie chciał uznać odrębnej narodowości białoruskiej. Wymienimy chociażby nazwiska Wincentego Dunin-Marcinkiewicza, Artemiusza Deryha Darowskiego, Franciszka Bohuszewicza czy jednego z najbardziej radykalnych działaczy powstania styczniowego — Konstantego Kalinowskiego.

Przykład niepokornych Polaków a także działalność polskich badaczy tego czasu, zafascynowanych białoruskimi tradycjami, obrzędowością, twórczością ludową, podkreślających odrębność narodową Białorusinów, wreszcie naszą literaturę, zwłaszcza romantyczną i późniejszą, odegrały niepoślednią rolę w tworzeniu świadomości narodowej, w „formowaniu samodzielnego, niezawisłego myślenia narodowego”.

Warto przypomnieć również, że w procesie tym najaktywniejszy udział brali twórcy białoruscy ukształtowani w kręgu kultury polskiej, utrzymujący liczne kontakty z pisarzami polskimi, czerpiący wzory z naszej literatury, posługujący się także polszczyzną. W dwu językach pisali m. in. „pierwszy na szeroką skalę folklorysta białoruski”, uznany przez niektórych historyków literatury za „ojca poezji białoruskiej”, członek towarzystwa Filomatów, jeden z najbliższych przyjaciół Mickiewicza — Jan Czeczot; wspomniani już wyżej poeta i tłumacz dwóch Ksiąg „Pana Tadeusza” — Wincenty Dunin-Marcinkiewicz, Aleksander Rypniski, Jan Barszczewski, Janka Tycyna (Jan Nieśiuchowski) czy wreszcie jeden z najwybitniejszych poetów i dramaturgów białoruskich — Janka Kupała. Szerzej pisze o tym Aleksander Barszczewski we wstępie do wydanej kilka lat temu „Antologii poezji białoruskiej”, opracowanej przez Jana Huszczy. Stąd też pochodzą cytaty.

Nie zliczyć wzruszających strof wierszy białoruskich „pieśniarów” poświęconych Polsce

współczesnemu światu, problemy filozoficzno-moralne, kobiece świat myśli i przeżyć”, cała (ta mocno osadzona w glebie narodu, w tradycji ludowej) liryka „lśni nowym zestawem barw, oryginalną metaforą, która koresponduje ze współczesnością, z naszym życiem”.

W wyborze znalazły się wiersze z sześciu wydanych przez autorkę tomików poetyckich. Odnajdziemy w nim czytelnik wiele z zasygnalizowanych wyżej przez Kononowicza tematów i „refrenów poetyckich”. Dominują jednak zdecydowanie dwa — niemal wszechobecne i wzajemnie uzupełniające się poetyckie światy: świat uczuć kobiecych i świat przyrody.

Przyroda Danuty Biczal-Zahnietały jest szczodra i sprawiedliwa. Rzeka „łagodna”, „sumienie” jej „czyste”. Panuje w niej harmonia i ład. Spersonifikowane i zainicjowane „zjawiska” przyrody zgodnie współdziałają ze sobą i pomagają człowiekowi. Rzeka ulecy zmęczenie i „zawsze spragnione usta człowiecze napoi”. Nie więc dziwnego, że stosunek autorki do natury jest równie serdeczny. Sosna, konik polny, bratek, obłok, wiatr, słońce to jej bracia i siostry. Nie jest to świat wielki! Wszędzie światła, kosmosu, w który młnkie pierwsza radziecka kosmonautka ani też jej przyrody w najszerszym, filozoficznym wymiarze nie można — zda się mówić poetka — ogarnąć, a więc i pokochać. Pokochać można prawdziwie tylko ziemię i przyrodę ojczyzny: „budnotrawe brzegi” Gali i tylko to słońce, które świeci nad Niemnem.

„Obok wsi rodzinnej jest najmilej.
Niedaleko zajdziesz po mych śladach —
Bez tej włoski nie rozoznasz, nie

odbasz
Tajemnicy moich rymowanych skrzydeł”.

Ten mikrokosmos ziemi ojczyzny i ojczyzny przyrody jest głównym źródłem optymizmu, głównym źródłem wiary w sens naszej egzystencji. Nie jest to, na szczęście, jakiś hurraoptymizm poezji radzieckiej epoki minionej. Poetki nie omijają „smutki niedorzeczne”, zna gorzko samotności. Nieobca jej jest zaduma nad kruchością, nietrwałością życia. Wie jednak, że nie bunt wobec natury, lecz pogodzenie się z jej prawami, uświadomienie sobie, że

Nieustannie naprężony
wzrok i słuch.

Chwile radości,
momenty gorzkiej łez
przerwie ci nagle głos:
— Mamo, daj jeść”.

Wydać się, iż odpowiedź jest prosta. Żyć zgodnie ze wyznacznym. Konieczny jest też wyrozumiały, spolegliwy stosunek do swych bliźnich.

„Popłaczę,
usnę,
zapomnę w nocy
krzywdę bolesną.

I znowu ludziom
zaglądam w oczy
ufnie jak dziecko.”

Poetycki świat Danuty Biczal-Zahnietały jest bardzo często właśnie takim światem widzianym oczyma dziecięcej wyobraźni. Dziecko, najbliższe naturze, jest jakby ogniwem, elementem łączącym świat roślin, drzew, ptaków i świat ludzi (Dziecko ma oczy bratka. Bratek polny patrzy oczyma dziecka). To właśnie pozwala dopiero zaakceptować świat jako całość. „Dorośla” rzeczywistości, niestety, nie daje nawet poecie-optymistce stałe widzieć go takim, ale może ona powracać w swej pamięci do dzieciństwa. Jest to niezwykle potrzebne, a nawet konieczne, by trwać, by zachować ład serca.

Tak samo jak pamięć o dzieciństwie, niezbędna jest pamięć o przodkach — w przypadku białoruskiej poetki — o z ludu wywodzącym się rodzicach i dziadach, których tradycje winno się utrzymywać i przekazywać następnym pokoleniom.

Danuta Biczal-Zahnietały sięga również do czasu obecności Polaków na tej ziemi i wciąż otacza ślady polskości. Czyny to — jak się wydaje — z potrzeby serca, bo nie są to zdawkowe, grzecznościowe wyrazy szacunku składane „ojeniom Kościuszką” i Mickiewiczem. Wyczuwa się w jej wierszach jakiś niezwykle osobisty, liryczny stosunek do tych spraw. Wzrusza nas,

POEZJA

Poczucie samotności i jego następstwa wpływające na charakter i estetykę dzieła literackiego są równie stare jak sama literatura. Konsekwencje tego związku mogą być bardzo różne. Wystarczy wspomnieć z jednej strony romantyczno-modernistyczny kult artysty-demiurga i sztuk jako wyższej formy rzeczywistości, z drugiej zaś bliższy nam czasowo nurt liryki współczesnej, poszukującej w kręgu spraw codziennego życia szansy na odczucie pełnej tożsamości podmiotu z samym sobą. Można przytoczyć tu nazwiska E. Cummingsa, W. Williamsa czy D. Lawrence’a. Jednakże w przeciwieństwie do swych poprzedników poeci naszego czasu traktują samotność nie jako siłę twórczą, ale przeciwnie — niszczącą i niepożądaną. O ile kiedyś była ona pochodną świadomego wyboru, o tyle teraz została narzucona przez tempo przemian i homogenizację kultury. Motyw „samotnego w tłumie” spopularyzowała kultura masowa. Stał się więc tak powszechny, że zatracił prawie swoją nośność. Przyczyniła się do tego m. in. moda, która sprawiła, że pojawiał się poczęły tomiki poetyckie różniące się od siebie jedynie nazwiskami autorów naśladujących nieudolnie Wielkich Samotników: Baudelaire’a, Whitmana, Rilkego. W poezji polskiej przejawia się to choćby w twórczości epigonów Rafała Wojaczka.

Dlatego już sam tytuł zbioru wierszy Zdzisława Antolskiego „Samotny w tłumie” wydaje się nawiązywać do tego nurtu. Pisane w poetyce typowej dla Nowej Fali, wystzegającej się bogatego użycia środków i technik poe-

tyckich, teksty te stanowią zapis przeżyć i stanów psychicznych w formie lakonicznego komunikatu. Trudno odnaleźć w tych wierszach węzły myślowe łączące je z sobą. Czytelnikowi narzuca się wrażenie ustawicznej nieciągłości i przypadkowości kolejnych utworów. W jakimś stopniu zgadza się to z wizją rzeczywistości:

SAMOTNOŚĆ I BÓL

W czasach kiedy nie można
ogarnąć całości
obraz świata buduje się z fragmentów (—)
Odrpyski fragmenty strzępy
niekompletne i nietrwałe
jak nasza świadomość
Wypowiedziane słowami
które ule sa pewne swoich znaczeń
tworzą obraz naszych dni
diagnozę współczesności.

Rezygnacja ze stworzenia spójnego obrazu rzeczywistości powoduje określone konsekwencje w doborze tematów i w formie tego pisarstwa. Odnajdujemy w nim rekwizyty i przeżycia najbardziej codzienne, „niepoetyckie” i banalne im przypisane. Należałoby oczekiwać, że z tej szarości siłą poetyckiego talentu uda się wykręcić coś więcej niż tylko zapis. Niestety, Antolski pozostaje cały czas na tej płaszczyźnie, która wydaje się być w jego realizacji poetycko wtórna. Wiersze te nie odznaczają się ani oryginalnością treści, ani

nowatorstwem formy. Nie czuje się w nich tego, co Dylan Thomas uznał kiedyś za cechę dobrej poezji, a mianowicie magii wyżywności i niepowtarzalności poetyckiej wyobraźni. Antolski porusza się po ścieżkach dawno przetartych, a tam, gdzie usiłuje być poetą, jest tylko poetycki.

Jedno warto odnotować — w przeciwieństwie do ułudnych zapewnień autor dąży jednak do pewnych uogólnień. Przenosi własne jednostkowe doświadczenie w sferę, w której nie dostrzegamy „ja” — zamienia się w „my”. Pomimo więc deklarowanej samotności istnieje poczucie więzi z innymi i dążność do jej zachowania. Niezależnie od tego, czy uznamy ów zabieg za kokieterię czy słabość warsztatu poetyckiego, ten ułkon w stronę humanistycznych ideałów jest znaczący.

Jan Lechicki, autor tomiku „Kształt bólu”, jest lekarzem, a cała jego poezja mieści się w przestrzeni określonej wykonywaniem tego zawodu. Ciągły kontakt z cierpieniem i śmiercią wyznacza obszar poetyckiej penetracji. Ludzkie dramaty mają tu ściśle wytyczone miejsce realizacji. Mury szpitala tworzą scenę, na której rozgrywa się walka człowieka z bólem i śmiercią. Przypomina to trwającą nieustannie moralitet, gdzie role nie ulegają zmianie, a od ustalonych wyroków nie ma odwołania.

Lechickiemu najlepiej udaje się zarejestrować instynktowny lęk ciała przed nicością, sprzeciw i strach, który ma w tej poezji wymiar oryginalny, ponieważ nie zawiera w sobie abstrakcji. Zawsze jest to „pojedynczy przypadek”, opisany z kliniczną dokładnością i skojarzony ze śmiercią. Odwołanie się do śmierci stwarza poczucie głębokiej wspólnoty z innymi ludźmi, bunt i pragnienie pomocy innym.

Poza próbami podejmowania tematów egzystencjalnych wyróżnić trzeba w tym tomiku grupę wierszy „lirycznych”, ukazujących jakby odrotną stronę talentu poety. Są to rejestracje zwyczajnych zdarzeń i spotkań z przypadkowymi ludźmi, opisy krajobrazu. Metaforyka tych wierszy jest oszczędna i powściągliwa. Rzadko zdarza się autorowi przekroczyć granice konwencji przypisanej do podejmowanych tematów.

Lechicki nie rości sobie pretencji do filozoficznej czy formalnej oryginalności i dzięki temu utrzymuje znaczeniową i artystyczną spójność swoich utworów. Tomik jego reprezentuje niezbyt przeciętną tego, co obecnie dzieje się w naszej poezji; pokrewny jest piarstwu Piotra Mulsnera Nieckowskiego, wyrastając z tych samych źródeł i świadcząc o możliwościach jeszcze niedokrytych i niezrealizowanych.

JERZY MORKA

Zdzisław Antolski, Samotny w tłumie, Łódź 1981, Wydawnictwo Łódzkie.
Jan Lechicki, Kształt bólu, Łódź 1981, Wydawnictwo Łódzkie.

Jubileusz 25-lecia pracy pisarskiej autora „Trylogii”, obchodzony w podniosłej atmosferze przez cały niemal rok 1900, wywarł ogromne wrażenie nie tylko w kraju, ale także poza jego granicami. Serdecznie witany kolejno w Poznaniu, Krakowie i Lwowie, zaś powitania przeradzały się w manifestacje obywatelskie i patriotycznych uczuć społeczeństwa polskiego. Wzruszającym symbolem uznania dla zasług wielkiego syna ojczyzny, był dla narodów w postaci wsi Obłegorek, położonej w niewielkiej odległości od Kielc, przekazany Sienkiewiczowi w roku jubileuszowym. Ob-

być przeznaczony na cele dobroczynne. Wkrótce znaleziono odpowiedni lokal w salach Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, przeniesiono tam kolekcję pamiątek, liczącą ogółem 364 pozycje, o czym świadczy katalog wystawy, opracowany przez Stefana Dembego, Wacława Rydzkowskiego i Zygmunta Wolskiego (druk w tygodniku ilustrowanym „Sport”, 1901, nr 15, s. 11—23). Bardzo interesujący był los zgromadzonych na wystawie pamiątek. Wydaje się, że omówiony przez Jerzego Słizńskiego (Z pogranicza zagadnień literackich czeskich i polskich. 3. Sienkiewicziana czeskie. „Przegląd Za-

WSPOMNIENIA

rykowski Sienkiewiczowi chlubie bratniego narodu polskiego składają hołd w dzień Jego jubileuszu dwudziestopięcioletniej pracy pisarskiej: 22 grudnia MCM”.

Na pierwszej stronie sztabucha złożyli własnoręczne podpisy wybitni pisarze czescy: Jaroslav Vrchlický (1853—1912), Alois Jirásek (1851—1930) i Zikmund Winter (1846—1912). Prócz tych głośnych w litera-

GLASKANIE LITERATURY POD WŁOS

Podobne sformułowanie, w odniesieniu do historii, pada w „Tezach historyzoficznych” Waltera Benjamin, a którego Andrzej Mencwel stosunkowo często się powołuje.

Glaskanie literatury pod włos w wykonaniu tego ostatniego polega przede wszystkim na imitacjach wielkich pisarzy, klasyków prozy nowoczesnej — Balzaka, Stendhala, Dostojewskiego. Słowo imitacja jest tu bardziej na miejscu niż pastisz, po prostu w ten sposób akcentujemy niezmienną istotę pewnych procesów czy może raczej mechanizmów psychologicznych i społecznych przekazanych w dziełach mistrzów, przy całym szacunku wobec ich warsztatu. Imitacje takie, przypominające po prawdziwie pisarskie wprawki, są dziś rzadkością. Kto tak pisuje? Być może ktoś zawieszony między „suchością” krytycznego opisu a wieloraką barwnością prozy artystycznej, ktoś, komu znajomość pewnych zjawisk kulturowych nakazuje szukać innych niż zazwyczaj stosowane środków wyrazu, ktoś, kto musi oglądać otoczenie przez pryzmat literatury.

Znaczna część tekstów, z jakich składa się „Widziane z dołu” publikowana była w końcu lat siedemdziesiątych na łamach społeczno-kulturalnego kwartalnika „Regiony”. Widać w nich znajomość czasu, zaciągnię na nich również charakter periodyki, niezmiennie ukazującego społeczne implikacje zjawisk kulturowych, o których dość często zdarza się nam zapominać, zawierając tym, co głoszą absolutną autonomię sztuki. Typowym przykładem mogą być tutaj „refleksje wielostronne polemiczne” zatytułowane „Gleboznawcom”, do jakich zainspirowała Mencwela działalność Jana Brody, przedstawione wcześniej na łamach „Regionów” przez Zygmunta Wójcikę. Płynące z nich wnioski świadczą o ciągłym literackim zafasczowaniu „chłopskości”.

Problemy fałszowania świadomości społecznej i indywidualnej oraz nieustannie powtarzanych prób przeciwstawiania się temu, na co skazują nas najrozmaitsze mechanizmy życia społecznego, wykraczają daleko poza literackie zwierciadła i pryzmaty. Stosuje więc Mencwel różne chwytły, gdy imitacja już nie wystarcza: wspomnienie, obrazek obyczajowy, notę z okazji i bez okazji. W ten sposób książka jego staje się zbiorem tekstów zróżnicowanych, niejednorodnych, lecz zawsze pokazujących

zjawiska w całym ich uwikłaniu. Bo też kultura jest dla autora „Widziane z dołu” czymś powikłanym i skomplikowanym, nawet wówczas, gdy dość łatwo udaje się nam dostrzec niektóre jej sprzeczności. Jej przemiany kroczą drogą pełną wahań, przystanków, zakrętów, a nawet odwrótów. Niemalą rolę w tym wszystkim odgrywa zjawisko mody. Asumpt do uwag o miejscu mody i kiczu dała lektura książki Abrahama Moles’a „Kicz, czyli sztuka szczęścia”, potwierdzająca w gruncie rzeczy nieśmiertelność stereotypu i złego smaku jako swego rodzaju projekcji nieustannych marzeń o świecie ozdobnym i niedramatycznym. Dalszych przyczynków dostarcza tutaj „teoria wnętrza mieszkalnych” jako wykładnik sposobu uczestnictwa w kulturze, tradycyjnie umieszczanego między odświętną obrzędowością a zwyczajną powszedniością, jako swego rodzaju przeciwstawienie wobec elitarności i wysublimowania literatury.

Próby takiego przeciwstawienia się towarzyszą literaturze od dawna. Jedną z bardziej znanych są „Metamorfozy albo złoty osioł” Apulejusza. Bohater tego utworu zostaje zamieniony w osła, aby w tym niecodziennym (?) wcieleniu poznać życie z najniższej perspektywy. Takie skojarzenie wywołała lektura „Ballady o Januszku” Sławomira Łubińskiego, jednego z ciekawszych debiutów prozatorskich schyłku lat siedemdziesiątych, pokazującego z punktu widzenia prostego człowieka powojenne trzydziestolecie, weryfikującego szablony i zafasczowania, do jakich przyzwyczailiśmy nas w większości dzieła powstałe w owym okresie. Widziane z dołu — czyli weryfikacja sloganu poprzez warunki i możliwości życia codziennego. Patrzenie z dołu — czyli glaskanie literatury (i nie tylko) pod włos.

Weryfikacja liczmanów dokonywana bywa nie tylko z możliwie niskiego punktu widzenia. Założymy, iż „pojęcia na średnim szczeblu ogólności wykazują wielostronną plodność” śledzi Mencwel ze szczególnym upodobaniem fenomenologię półinteligencji. Ustala jej najbardziej konwencjonalne przejawy: aktualny zawsze uniform, niezłe opanowanie gestów zręcznościowych, posługiwanie się obowiązującymi chwytami werbalnymi i obrazkami oraz przekonanie o wyjątkowości, usprawiedliwiającej dążność do rozmaitych odmiannych uprzywilejowania. Chyba przyjdzie zgodzić się z poglądem,

iż zjawisko to wcale nie małej, wręcz odwrotnie. Jedyna pociecha, że jeszcze zdajemy sobie z tego sprawę...

Jak to zwykle się dzieje w glaskaniu pod włos — w znacznej części książka Andrzeja Mencwela pozostaje prowokacją, cechy intelektualnej zabawy nie są jej obce. Pożywnym pokarmem współczesności w niejednym przecież przypadku okazują się stare romanse, a Lucjana de Rubempré nie raz jeszcze zdarzy się nam spotkać na Dworcu Centralnym w Warszawie. Temat awansu społecznego na tle epoki zda się być bowiem niewyczerpywalny. Jak łatwo zatem dostosować do współczesności Balzaka czy Stendhala świadcząc dowcipny, miejscami żiadliwy, przede wszystkim zaś potoczny tekst pt.: „Romans prowincjonalny”. Wystarczy zmienić realia — reszta pozostaje nienaruszona.

Podobnie jak niezmiennie aktualne są rady Stefana Lousteau, skierowane pod adresem literackiej młodzieży: — „Wal! bądź bez wychwiania, jeżeli masz talent, najlepiej boć dla ciebie byłoby go nie mieć. Sumienie twoje, dziś nie skalane, ugnie się przed tymi, w których rękach ujrzyj swoje powodzenie i któryś, jednym słowem mogąc dać ci życie, nie zechce wynieść tego słowa; bo wierzą mi, pisarz w modzie pynniejszy jest, twardszy dla nowych przybyszów niż najbrutalniejszy księgarz...”

Przed dziesięcioma laty Mencwel opublikował książkę krytyczną pt.: „Sprawa sensu”. Sensom jego najnowszej książki jest sceptycznym wobec przejawów kultury. Powinno on wzrastać w miarę przekraczania kolejnych kręgów wtajemniczenia. Bo tylko takie nastawienie pozwoli nam wyjść obronną ręką z szerokiego naskoku półinteligentów. Dobrze jest, jeśli do sceptycyzmu dołącza się jeszcze coś, co można nazwać instynktem społecznym. Ale nawet wtedy, jeśli jesteśmy przekonani, iż los wyposażył nas w te piękne cechy nie zapominać o pewnej przestrożce, jaką kończy Mencwel jeden ze swoich szkiców: „Czwierdzielnym jest ten, kto w społeczności półinteligentów pozostaje, w swoim nienaruszonym mniemaniu, inteligentem całkowitym”. Moje mniemanie zostało naruszone. Poczytuje to w dużym stopniu za zasługę książki Andrzeja Mencwela.

TADEUSZ BŁĄZEJWSKI

A. Mencwel, *Widziane z dołu*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1980, s. 167, nakład 10 000 + 315 egz., cena zł 25.

NIEZNANY SZTAMBUCH SIENKIEWICZA

chody jubileuszowe zostały oficjalnie zamknięte 22 grudnia 1900 r. Po uroczystej mszy w kościele św. Krzyża w Warszawie, celebrowanej przez biskupa-sufrażana Kazimierza Ruszkiewicza, odbyła się właściwa ceremonia w salach ratusza, podczas której podchodzili do jubilatki liczne delegacje, składając mu adresy i okolicznościowe dary. Wśród zgromadzonych gości znalazła się też delegacja „Lodzer Zeitung”, gazety łódzkiej wydawanej w języku niemieckim. Prasa łódzka (np. „Rozwój” nr 293) poświęciła pisarzowi znaczną część łamów, zaś 22 grudnia 1900 r. w Teatrze Polskim w Łodzi odbyło się uroczyste przedstawienie i bankiet z okazji jubileuszu pisarza.

Dzień jubileuszu okazał się świętem literatury polskiej, a zainteresowanie mieszkańców Warszawy darami i pamiątkami złożonymi Sienkiewiczowi tak ogromne, że komitet organizacyjny postanowił zwrócić się do jubilatki z prośbą o zgodę na udostępnienie publiczności owych darów na okolicznościowej wystawie Sienkiewicz nie odmówił prośbie, tym bardziej, że dochód z imprezy miał

chodni”, 1952, nr 9—10, s. 184) czerstonickowy adres, otrzymany przez Sienkiewicza od kolonii czeskiej w Warszawie, jest zarejestrowany w owym katalogu pod numerem 227.

Tak się złożyło, że następna w kolejności pozycja katalogu wystawy wymienia „Adres z Czech”. Okazuje się, że ten właśnie adres, a właściwie sztambuch, znalazł się w zbiorach Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego w Łodzi (nr inw. 69208). Jest on oprawiony w jasną skórę, z wierzchniej strony tłoczoną i złoczoną, z prostokątną ramką, w której zapewne znajdowała się ongiś dodatkowa ozdoba, o czym świadczy nieznaczne odbarwienie skóry. Tylna część okładki zdobiona jest ślepych tłokiem. Księga zawiera 71 kart z litografowanym monogramem H.S., poniżej których figurują liczne podpisy i oryginalne odciski pieczęci ponad 60 czeskich i słowackich czasopism literackich, społecznych i naukowych oraz gazet, wydawanych przez przedstawicieli różnych orientacji politycznych. Rekopisemienne wpisy poprzedza drukowana karta tytułowa następującej treści: „Mistrzowi Hen-

turze nazwisk można w księdze znaleźć ponad 200 autografów przedstawicieli czeskiej literatury i czasopiśmiennictwa.

Szczęśliwie zachowany w zbiorach Miejskiej Biblioteki Publicznej w Łodzi rekopis świadczy o dużym zainteresowaniu naszych południowych pobratymców jubileuszem Sienkiewicza. Nie udało się ustalić, kto na gruncie czeskim wystąpił z projektem takiego właśnie uczczenia jubileuszu Sienkiewicza, nie wiadomo też, kto wchodził w skład oficjalnej delegacji czeskiej podczas warszawskich uroczystości jubileuszowych. Doraźnie przeprowadzona kwerenda bibliograficzna i luźne wzmianki prasowe z ówczesnych gazet czeskich, nadesłane mi życzliwie przez Państwową Bibliotekę CzSR (Státní knihovna ČSSR) w Pradze, nie rozwiązały wielu kwestii, dotyczących omawianego dokumentu. Sądzić należy, iż wzbudził on zainteresowanie polskich i czeskich badaczy życia i twórczości Henryka Sienkiewicza.

ANDRZEJ KEMPA

TEATR

O tym, że realizatorzy spektaklu zatytułowanego „Tuwim” czyli spacer samotny w kraj wspomnień, a przygotowanego w teatrze noszącym imię Wielkiego Poety, pragnęli przenieść nasze „duże utęsknione” do jednego z tych teatrzyków jakie tak bardzo ukochał autor „Kwiatów polskich”, świadczy program wydrukowany dla tego przedstawienia.

nich historyczną już uchwałę Łódzkiego Towarzystwa Upowszechniania Kultury i Sztuki powołującą do życia teatr objazdowy. W zarządzie tego Towarzystwa działał Julian Tuwim. Błąd drukarski — gdyby jego skutkiem to drobne „im.” wypadło z wydawnictwa teatralnego — byłby „tylko” przykre i bardzo nieprecyzyjne, świadoma zaś supozycja iż tak oto wyglądać mógł Tuwim „teatr ogromny”, jest w kontekście zaprezentowanego spektaklu i modelu teatru dla

sprawcą była zapewne chęć prezentacji poezji Tuwima w całej jej krasie i głębokej mądrości, stał się przejawem nie tylko braku szacunku dla poety (co samo w sobie jest już wystarczającym kamieniem obrazu jego pamięci), ale także żywym dowodem kompletnej ignorancji w poetyce i teatralnej materii; ignorancji, która usiłuje bronić się przed ewentualnym rozpoznanem autorytetem Norwida. W omawianym programie zacytowano jego słowa: „nie pozwalałem

upodobań, a także spis rzeczy przez siebie nieubliżanych (wśród setki innych jeszcze rzeczy nie lubił m.in.: „Historiozofów, monumentów, Młodzieży, kiedy zabrzydli dziarska, Potęgowiec, gosudarstwa Dowcipów niedowcipnych osób...”

Z całego zaś dorobku autora tych słów wynika, że cenil prawdziwą sztukę i pełną w każdej dziedzinie fachowość. Sam będąc mistrzem w swoim „fachu” niezrównanym, walcząc z tandetą i amatorszczyzną — zjawiskami podwójnie groźnymi w działaniach upowszechniających sztukę, w przybytkach dla niej zbudowanych i przybytkami sztuki się nazywających. Teatr im. J. Tuwima takim właśnie przybytkiem się mieni. Fakt, iż jest on za wodowym teatrem, nie jest dlań żadnym zaszczytem, tylko oczywistością: finansowany przez miasto zatrudnia zawodowych twórców. Profesjonalizm jest tu — jak w każdym innym teatrze — obowiązkiem, nie ma zatem żadnych podstaw byśmy przy ocenie poczynali artystycznych tej sceny stosowali jakiegokolwiek inne miary niż te, które przykładamy do działań pozostałych łódzkich scen. Wszystkie zatem oceniamy przez pryzmat doboru repertuaru i sposobu jego teatralnej realizacji. Zapowiedź prezentacji na scenie przy ul. Kopernika montażu poezji Tuwima nie mogła nie wzbudzić powszechnej aprobaty, tym bardziej, że objazdowy charak-

ter tej sceny daje szansę dotarcia z nią do miejsc i środowisk, których kontakt z „czystą” poezją jest rzadki i okazjonalny. Sceniczna prezentacja nieateatralnej poezji musi jednak odbywać się w sposób określony jakąś zasadą kompozycyjną. Tymczasem cały pierwszy akt widowiska — poza śledzeniem różnych przedziwnych rzeczy, które działy się na scenie — zszedł mi na naprawdę usilnym szukaniu jednej choćby uzasadniającej taki a nie inny wybór tekstów myśli, która łączyłaby te teksty. Nie doszukawszy się jej, pozwałam sobie uznać ten wybór za zupełnie przypadkowy i nie dający żadnego pojęcia o urodzie i znaczeniu poezji wielkiego twórcy. Autor wyboru — Tomasz Szymański — będący jednocześnie autorem inscenizacji i reżyserem przedstawienia, dał też szokujące wręcz dowody opacznej interpretacji tych tekstów a rozpisanie niektórych z nich na głosy (np. wzruszającego „Piętra Plakina”) niechlubnie zaś świadczyło o jego rozumieniu gatunków poetyckich. Interpretacja aktorska rozmiągała się z treścią, duchem i literacką urodą wybranych utworów ujawniała tak ogromne braki warsztatowe wykonawców, że z wielką doprawą przykrością muszę poddać w wątpliwość ich profesjonalizm. Był to wielki popis niemożności i złego smaku, tak wielki, że mniejsami aż żenujący, i wprawiający widzów w przykre do-

prawdy uczucie zawstydzenia i zakłopotania. Chocąc większe jeszcze wstydy wykonawcom oszczędzić, pozwolę sobie nie omawiać szczegółowo poszczególne „numery” pierwszej i drugiej części widowiska prosząc jedynie by wszyscy — poza oczywistą kwestią interpretacji znaczeń — zechcieli przypomnieć sobie zasady regulacji oddechu, dykcji, a także by śpiewając zechcieli pamiętać, że obowiązują ich czystość intonacyjna. Jedyne Bogusławowi Marczakowi wyrazić mogę uznanie za interpretację „Strasznych mieszczan” i za kulturalną obecność w tym spektaklu: bo aktor ten widząc chyba ową straszną niemożność, najstuszej do tej właśnie kulturalnej obecności sprowadził swój udział w całym nieudanym przedsięwzięciu. Dobrze zapewne chęci pozostałych wykonawców rozbiły się zupełnie o ich własną niemożność. Reżyseria sprowadzała się w gruncie rzeczy do podziału widowiska na dwie części — „poetycką” i kabaretową — porządziła wykonawców w owej niemości, z której nie wyszł od początku do końca tego bardzo smutnego widowiska. Scenografia Barbary i Lucjana Zachmoczów dopełnia resztę uwielbiającego dzieła, a raczej je kończącego. dosłownie. Niestety.

EWA PANKIEWICZ

POPIS NIEMOCY

Teatr im. Juliana Tuwima nazywał się w nim Teatrem Juliana Tuwima. W działaniu tym zmierzającym zapewne do pełnej identyfikacji z duchem i myślą artystyczną poety muszę widzieć świadomy zamiar, choć wolałabym widzieć w owej rezygnacji ze skrótu wskazującego, iż placówka ta nosi imię twórcy, jedynie błąd drukarski. Muszę widzieć działanie świadome, bo w owym programie Teatr imienia Juliana Tuwima nazywa siebie Teatrem Wielkiego Poety konsekwentnie na wszystkich tego wydawnictwa stronach, przedrukowując także na jednej z

pamięci Juliana Tuwima wręcz obraźliwa, a przecież szacunku pamięć i poezja Juliana Tuwima wymaga nie tylko dlatego, że Tuwim „wielkim poetą był”, ale przede wszystkim dlatego, iż był wielkim poetą naprawdę.

Do szacunku dla niego my, łodzianie, jesteśmy zobowiązani podwójnie (z powodów o których każde szkolne dziecko...) a teatr noszący jego imię — potrójnie (z powodów, których po tym wstępie przytaczać już chyba nie muszę). Tymczasem spektakl zaprezentowany na scenie Teatru im. J. Tuwima, którego przyczyną

zrobić bałwanka z poezji i potem drzeć, czy się nie obali jak kłó ruszy nogą naprzód”. Norwid miał oczywiście rację przeciwstawiając się umieszczaniu poezji na wielkich i kruchych piedestałach, aliści on zwłaszcza dokładnie widział różnicę między tym, co nazywamy dziś odrażającym, a tym co z najszybszą nawet chęcią odrażania staje się oczywistą i jednoznaczną profanacją, a do niej właśnie doszło w Teatrze im. J. Tuwima.

W jednym z ustępów „Kwiatów polskich” Julian Tuwim zawarł dokładną listę swoich

„Czas Prus”, „Moda na Prusy”, „Pruskie reminiscencje” — oto nie-które hasła na określenie wzbudzenia zainteresowania pruską tradycją dzisiejszych państw niemieckich. Jesteśmy przyzwyczajeni do ożywania raz po raz nastrojów kulturowania tradycji z bolesnej dla Polski przeszłości w społeczeństwie zachodniemieckim.

Prusy są przykładem państwa, które z karcą błyskawicznie, a niezauważalnie dla Europy, przemieniło się w potęgę cesarstwa, którego historia istnienia była nieprzerwanym pasmem podbojów obcych ziem. Działalność do tamtych lat świetności z dumą się nawiązuje, a idea europejskiej zaprzęta społecznej umysły nad Renem.

W końcu XVIII wieku na Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego składało się 28 państw i 1500 niezależnych podległych cesarzowi terytoriów, rycerskich. Powstał na gruncie zburzonego przez Napoleona Związku Niemieckiego liczył już 42 państwa, ale Związek cechowała już o wiele większa spójność niż Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego. Wojna z Austrią, zakończona błyskawicznym zwycięstwem pod Sadową w 1866 roku oraz wojna prusko-francuska z 1870 roku uwiaryłowili w Europie ekspansjonistyczny charakter państwa, którego zabobność i agresywność została podniesiona wprost do rangi cechy narodowej. Dziś do tamtych czasów się nawiązuje, nie wspominając jednak za bardzo, że z Rzeszy Niemieckiej, której promotorem nie był kto inny, tylko właśnie Prusy, wyszła najbardziej w historii ludobójcza wojna.

Państwo pruskie likwidowane zostało Uchwałą Sejmowej Rady Kontroli nr 48 z 25 lutego 1947 roku. Preambula jej brzmiała: „Państwo pruskie, które od dawnych czasów było kolebką militarystyki i reakcji w Niemczech, faktycznie przestało istnieć w interesie utrzymania pokoju i bezpieczeństwa narodów oraz pragnąc zapewnić przyszłą odbudowę życia politycznego Niemiec na podstawach demokratycznych — Rada Kontroli uchwała, co następuje: I) Państwo pruskie, jego rząd centralny i wszystkie podlegające mu urzędy zostaną rozwiązane”. Ustawa weszła w życie z dniem podpisania.

Z okazji „pruskiego roku” organizowane są wystawy, odczyty, dyskusje z udziałem znanych naukowców. Ich problematyka przewija się wokół 110 rocznicy Rzeszy Niemieckiej (1871—1981), 200 rocznicy urodzin Karla von Clausewitza, 200 rocznicy urodzin twórcy pruskiej architektury, Karola Schinkla, 250 rocznicy urodzin gen. F. W. von Steubena czy zbliżającej się (1986) 200 rocznicy śmierci Fryderyka Wielkiego. Przewiduje się, że razem około 150 imprez.

Niedawno jedno z NRD-owskich pism przytoczyło wypowiedź prof. Bartla, który poinformował, że w NRD od 1949 roku ukazało się od 800 do 1000 publikacji na temat Prus. Czołowi są tacy generałowie, jak Clausewitz, Gneisenau czy York — patronują oni oficerskim szkołom w NRD. Pomniki ich (z wyjątkiem Clausewitza) oraz Büchera i Schorhsta znajdują się w śródmieściu Berlina. W stolicy NRD został ponownie umieszczony na Linderforum pomnik Fryderyka Wielkiego na ko-

niu, zaprojektowany przez Christiana Daniela Raucha. Waży on 184 tony i ma wysokość 14 metrów. Odsłonięto go 31 maja 1851 roku, jednak w 1950 roku zdjęto i przeniesiono do parku Sanssouci w Poczdamie. Członek Biura Politycznego SED, Kurt Hager, powiedział m.in., że „postawienie pomnika Fryderyka II nie ma żadnego symbolicznego znaczenia, nie stanowi sensacji i politycznej demonstracji, która miałaby uzasadnić nowy obraz Prus (...) NRD stanowi kontynuację wszystkiego, co postępowe, humanistyczne, rewolucyjne w dawnej historii niemieckiej. Panująca klasa wyzyskiwaczy w RFN nie ma prawa, aby przywoływać się dla legitymizmu swojej polityki na tradycje tych sił i ruchów, które były przez tę samą klasę wyzyskiwane, zwalczone, ciemiężone, a nieradko łamane... Nasz marksistowski-lenin-

wiedzial z uznaniem, że „polityka NRD w kwestii pielęgnowania pruskiej tradycji stanowi wkład do stworzenia wspólnej świadomości historycznej wszystkich Niemców”.

W RFN zostało wydanych w ostatnich dwóch latach ponad 80 pozycji książek i albumów poświęconych Prusom. Wymieńmy niektóre pozycje: Sebastian Haffner „Preussen ohne Legende”, Sebastian Haffner i Wolfgang Venohr „Preussische Profile”, Bernt Engelmann „Preussen Land der unbegrenzten Möglichkeiten”, Fischer-Fabian „Preussen Gloria”, Christiana Grafa von Krockowa „Warmung vor Preussen”.

A teraz o najważniejszym fragmencie „roku pruskiego”. Mowa o wystawie — monstrum „Prusy — próba bilansu”.

Wystawa „Preussen — Versuch einer Bilanz” została otwarta 15 sierpnia w

sojaldemokrata, Dietrich Stobbe. Urzędujący od 11 czerwca tego roku nowy burmistrz, Ryszard von Veizsäcker, jej nie odwołał. Wystawa odbywa się jednak pod patronatem Senatu, a wykonawcą jest przedsiębiorstwo noszące nazwę „Berlińskie festiwale”.

Kierownikiem naukowym wystawy jest profesor Manfred Schlenke z Uniwersytetu w Mannheim. Na jednej z konferencji powiedział on, że wystawa pruska w Berlinie nie ma innego celu, niż zapoznanie możliwie szerokiej publiczności z biegiem historii. Z kolei napisał: „Przez ponad trzy wieki — od dni Wielkiego Elektora aż do końca III Rzeszy Prusy współtworzyły niemiecką i europejską historię jako państwo, ale także jako często przywoływany i wielokrotnie naukowy przykład. Jeśli więc ktoś krytycznie podchodzi do Prus, a o to chodzi w wystawie — wypelnia jakiś kawałek wyjaśniającej pracy, dotyczącej nie tylko Prus, ale niemieckiej i europejskiej historii (...) Historia, wiedza i poznanie łatwiej znajdują dostęp do szerokiej publiczności poprzez zobowiązanie do przejrzystości wystawy, niż poprzez wypelnione nieznanymi publikacjami księgarń regały”.

W ostatnim — kilkakrotnie bowiem korygowanym — scenariuszu tej ekspozycji, prof. Schlenke pisze: „Wystawa ma udostępnić systematycznie zebrane i zachowane dla potomnych świadectwa pruskiej historii i kultury, przedstawiając je po raz pierwszy szerokiej publiczności. Nie ma ona budzić nostalgii pozbawiającej refleksji, ale oznacza krytyczną dyskusję o państwie, które ponad 300 lat współtworzyło niemiecką i europejską historię”.

Chodzi o pokazanie Prus w ich sprzecznościach, pozytywach i negatywach, w świetle i cieniach. Nie chcemy zwiedzającym przedstawiać Prus ani jako wspaniałej świątyni, ani jako ponurej katowni. Temat Prus jest kontrowersyjny i takim pozostanie. Nikt nie może rościć sobie pretensji, że posładi dla siebie i innych „całą prawdę” o Prusach”.

W scenariuszu jest także fragment poświęcony Polsce. Czytamy m.in. „Dramatycznie układały się stosunki Prus z ich polskim sąsiadem i jego polską ludnością (...). Konflikt międzyrodowy — znaną państwo polskie padło ofiarą Prus, Austrii i Rosji. Konflikt wewnętrzny wówczas, gdy w XIX wieku ukształtowała się świadomość narodowa Polaków, a część ludności i diega odciskowi germanizacyjnemu ze strony pruskiego państwa. Określone problemy polskiej mniejszości w Zagłębiu Ruhry, usiłując dostosować się do obcego otoczenia, mają swe skutki do dnia dzisiejszego”.

„ZBUNTOWANI”

Rada Pedagogiczna Zespołu Szkół Budowlanych Nr 2 w Łodzi, przy ul. Kopcińskiego 3/11 wyraża swoje oburzenie z powodu nieprawdziwego przedstawienia spraw szkoły w artykule redaktora T. Soldenhoffa pt. „Zbuntowani” („Odgłosy” z dnia 6 i 13.09. br.).

Poruszane w artykule problemy zostały naświetlone jednostronnie i nierzetelnie, tylko w oparciu o relację pana Andrzeja Sokolowskiego. Artykuł nie uwzględnił stanowiska Rady Pedagogicznej, z którym redaktor Soldenhoff został zapoznany uczestnicząc w jej posiedzeniu. Podane przez „bohatera” raporty informacyjne są tylko zwykłym pomówieniem członków Rady Pedagogicznej. Cytowane wypowiedzi niektórych nauczycieli są niepełne, pozbawione szerszego kontekstu, w którym je wypowiedziano, co zmniejszało przyrzeczony konflikt między panem Andrzejem Sokolowskim a Radą Pedagogiczną.

Prosimy o umieszczenie treści naszego protestu w najbliższym numerze „Odgłosów”.

RADA PEDAGOGICZNA
(podpisy nieczytelne)

Łódź, dnia 24.09.1981 r.

OD REDAKCJI: Zgodnie z życzeniem, drukujemy protest, choć, prawdę mówiąc, wolilibyśmy poświęcić więcej miejsca na tekst w którym Rada Pedagogiczna, albo może raczej ktoś osobiście, nie kryjąc się za plecami Rady, zabrał głos, ustosunkowując się merytorycznie do problemów sygnalizowanych w artykule.

Protest bowiem protestem, a sprawa — sprawa Rady byłabyś wiedzieć, wraz z Czytelnikami, co Rada Pedagogiczna zamierza zrobić dla młodzieży z kierunku konserwacji zabytków. Mam nadzieję, że ob. dyrektor, mgr Zenon Warcholowski, pośredniczący w przesłaniu protestu, zabrał głos w sprawie...

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Po przeczytaniu artykułu „Zbuntowani” wielce się zdziwiłam, ale nie z powodu opisanego konfliktu. Reportaż pana Soldenhoffa uświadomił mi jak wiele rzeczy ja i moi bliscy spotykaliśmy się w życiu z podobnymi sytuacjami. Dla mnie nie jest najważniejsze w tej chwili kto ma rację dyrektor czy nauczyciel (tak czy inaczej poszkodowana jest młodzież) ale jak znaleźć pozytywne wyjście z tej sytuacji. Otóż powtarza się powszechnie, że wyjścia szuka się w wyłączeniu odpowiedzialności winy jednej strony. A nikt nie chce się przyznać do błędów. Nie chodzi mi, żeby zaraz składać samokrytykę, ale stać się naprawdę swój błąd. Nie, lepsza jest wolna pograżenie oponenta, nawet żałosne zaprzeczanie faktom, aby tylko mole było na wierzchu.

Dlatego nie do przyjęcia jest postawa dyrektora i grona pedagogicznego opisanego w artykule. Przyznam się, że również po stawia nauczycieli mnie nie przekonuje, bo nie wierzę w instytucje jedynych sprawiedliwych.

Na podstawie tego i innych znanych mi przykładów dochodzę do wniosku, że nauka demokracji jest bardzo trudna, że nie opanowaliśmy podstawowych pojęć pomocnych w rozwiązywaniu konfliktów środowiskowych. Gdyby to leżące chodziło tylko o niewielki wycinek naszej rzeczywistości, ale dążyłoby to do niszczenia także i szerzej skali, co już nie tylko jest powodem do zmartwienia ale strachu.

M. R.

(nazwisko i adres znane redakcji)

DRUGA REDAKCJO

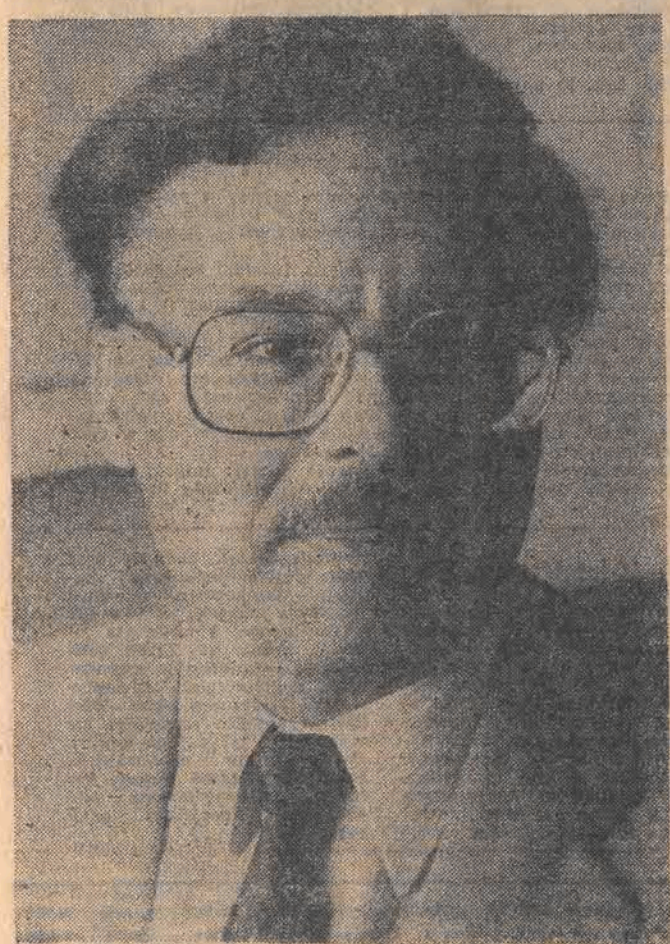
Udzielam prośbę o odpowiedź na pytanie, na które nikt mi nie dał odpowiedzi. Tylko wzruszenie ramion. Otóż mam trochę dzieci w internacie, za pełną odpłatnością, bez stypendium. W tym roku szkolnym będą przyjeżdżać do domu w piątek, wprost po lekcjach (biegiem do pociągu, bo późno, więc bez obiadu). Będą przebywać całą sobotę, niedziela i odjazd w poniedziałek rano. Tymczasem nie dostają dla nich kartek na cukier, makę, ryż, masło, mięso. Mamy tylko 3 kartki — moja i męża. Jak będziemy żyć — 5 osób — na 2 kg maki, 2 kg cukru. Już o mięso nie mam pretensji, jest ciężko ogólnie to cały tydzień z mężem nie zjemy kieszka, żeby było dla dzieci. Ale chociaż żebym mogła kupić makę, cukier i masło, przecież żeby dzieci nie jadły w niedzielę suchego chleba z gorzką herbatą, ja z mężem muszę się tym „odżywiać” i „lepiej, wydajniej pracować”. Nie widzę wyjścia, bo takie są zarządzenia. Aha! Żeby było weselej, z karty stołowej ucznia wykreślone jest żywienie na wszystkie soboty i niedziele, mogą w internacie przebywać, ale żywienie w swoim zakresie. Przecież wtedy będą mogły zjeść suchy chleb z chlorowaną wodą, chyba, że ktoś „foratny” to zje w restauracji, ale chyba to nie jest wyjście dla uczniów. Bardzo proszę o poruszenie tej sprawy, bo ogarnia mnie rozpacz, zamiast radości, że dziś przyjadą ze szkoły moje dzieci.

CZYTELNICZKA

O POPULARNOŚCI KULTURY POLSKIEJ W RFN

— MÓWI

DR. PHIL. HANS-GERNOT HERRMANN



Fot. R. Łucyszyn

— Nie jest prawdy, pana zdaniem, w opinii o wielkiej popularności literatury polskiej w RFN?

— Nie ma w tym nic przesady. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że w RFN panuje moda na współczesną literaturę polską. Ogromnym zainteresowaniem cieszą się twórcy Andrzejewskiego, Iwaszkiewicza, Mrożka, Jana Józefa Szczepańskiego, że nie wspomnę już o Sienkiewiczach czy Reymontach oraz o wielkich polskich romantykach.

Popularność tę podtrzymują filmowe adaptacje utworów literackich. Nie ma prawie tygodnia, aby w telewizji nie nadawał polskiego filmu. Niedawno oglądał „Popiół i diament” oraz serial „Chłopi”.

— Czy w ślad za zainteresowaniem literaturą polską idzie zainteresowanie językiem, podobno — jak twierdzą cudzoziemcy — jednym z trudniejszych do nauki?

— Sądzę, że tak. Wszystkie uniwersytety mają już wydziały slawistyki z regularnymi studiami polonistycznymi. Absolwenci tych wydziałów zasilają głównie szkolnictwo, poszukują ich także wydawnictwa, przedsiębiorstwa turystyczne, służba dyplomatyczna. Jako ciekawostkę podam, że na wykłady uniwersyteckie na polonistycę przychodzą często jako wolni słuchacze obywatele polskiego pochodzenia.

— Wykłady wygłaszane są po polsku?

— Na I roku po niemiecku. Później, dla studentów starszych lat, którzy znają już język, prowadzą czasami wykłady w języku polskim.

— Pańscy słuchacze zdobywają podstawy językowe m.in. przy pomocy podręcznika, którego jest pan autorem. Które to już wydanie ukaże się na półkach.

— Trzecie. Poprawione i uaktualnione. M.in. dołączona do podręcznika mała antologia poezji polskiej poszerzona o znany wiersz Czesława Miłosza. Który skrywdziłeś człowieka prostego”. O twórczości tego poety, do czasu otrzyma-

nia przez niego Nagrody Nobla, było u nas niewiele wiadomo.

— Jest pan nie tylko wykładowcą, autorem podręczników, ale i tłumaczem literatury polskiej...

— Przetłumaczyłem opowiadania Szaniawskiego ze „Zbioru profesora Tutki”, wiersze Małgorzaty Hillar, a obecnie przygotowuję artykuł o środowisku literackim Łodzi.

— Jest pan gościem Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Łódzkiego?

— Przyjechałem do Łodzi w ramach umowy o współpracy naukowej i dydaktycznej zawartej przed kilku laty między uniwersytetami w Łodzi i w Gießen. Udział w zajęciach dydaktycznych, możliwość bezpośredniego korzystania ze zbiorów bibliotecznych, osobiste kontakty z pracownikami uczelni, literatami, krytykami, pogłębiają naszą wiedzę i znajomość spraw kultury polskiej. Owocem tej współpracy będzie wspólnie opracowany przez polonistów i germanistów tom poświęcony współczesnej prozie.

— Polskie uczelnie żyją obecnie sprawami autonomii i samorządności. Jak to wygląda w RFN?

— Istnieją znaczne różnice między samorządami i statutami naszych uczelni. Po okresie „burz i naporów” w latach siedemdziesiątych reprezentacje studentów stanowią 1/3 Senatu i rad wydziałów. Początkowo studenci zamierzali współdecydować nieomal o wszystkich sprawach uczelni, ale po pierwszych doświadczeniach zaczęli się z tego wycofywać i obecnie zatrzymali prawo głosu tylko w tych sprawach, które bezpośrednio dotyczą młodzieży. Myślę, że jest to przejaw dość typowego procesu zachodzącego w świadomości i aktywności studentów.

Rozmawiała:
MAŁGORZATA GOLICKA

